W numerze dodatek powieściowy

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK IV Nr 9 (99) NIEDZIELA 27 LUTEGO 1944 R. CENA 30 MLS

W NUMERZE:

Zygmunt Szymczyński: „Zdrowe" gospodarstwa

Tomasz Orawski: „Reformowanie" rolnictwa

Witold Domański: Powrót do Europy

Jan Zbigniewski: „Quieta non movere"

Dr Jerzy Wendel: Tajemnica zwycięstw sowieckich

Melchior Wańkowicz: U cadyka z Bełżca

JAN ULATOWSKI

O KONGRES WOLNEJ EUROPY

Trudności, na jakie napotyka ostatnio dążenie do stworzenia międzynarodowej organizacji politycznej, która zapewniłaby na całym świecie *rządy prawa i wolność narodów* — zmuszają nas, Polaków, do jak najwyraźniejszego określenia naszej postawy. Dotychczas bowiem wszystkie posunięcia polityczne naszego rządu wynikały z milczącego założenia, że obóz narodów zjednoczonych ma poza zadaniem pokonania mocarstw „osi" cel dodatkowy, tj. organizację pokoju na zasadach *międzynarodowej demokracji*, a więc na zasadach wolności i równości narodów oraz na zasadach rządów prawa (a nie siły).

Gdy wiązaliśmy się sojuszem z Anglią, która wreszcie postanowiła zerwać z biernością wobec Hitlera i ryzykować wojnę z nim — to a nie co innego było milczącym założeniem naszego postanowienia. Gdy zawieraliśmy pakt z Sowietami, które przez napaść Hitlera zostały wreszcie wytrącone z postawy biernego obserwatora — nic innego nie mieliśmy na myśli. Oczekiwania nasze zostały potwierdzone przez kierowników wielkich mocarstw anglosaskich, którzy już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej sformułowali ten dodatkowy cel wojenny narodów zjednoczonych w Karcie Atlantyckiej.

Kryzys ideologii narodów zjednoczonych

Ten stan rzeczy formalnie nie ulegał wątpliwości do r. 1942, tj. do chwili, gdy Rosja zaczęła Niemcom stawiać skuteczny opór i gdy armie niemieckie musiały wycofać się z Afryki. Innymi słowy: dopóki Niemcy były silne — a więc dopóki wszystkie siły narodów zjednoczonych musiały skupić się na jednym celu: na obronie przed niemieckim imperializmem — istnienie wspólnej *ideologii* narodów zjednoczonych mogło być kwestionowane tylko przez ludzi, nie zadowalających się stanem faktycznym, ale przewidujących przyszłe zmiany sytuacji.

Obecnie nadszedł moment, gdy musimy zastanowić się, czy ci pesymiści nie mieli racji. Zbyt wiele bowiem nagromadziło się dowodów na to, że w umysłach przywódców politycznych narodów zjednoczonych dokonywa się odwrót od idej i haseł wyznawanych i głoszonych w pierwszym okresie wojny. Amerykanie już dawno usiłowali dopatrzeć się w polityce stosowanej przez W. Brytanię w Indiach odstępstwa od ideologii Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności. Mniejsza o powody, dla których to czynili. Anglicy odpowiadali na te zarzuty, że społeczeństwo indyjskie nie dorosło jeszcze do samostanowienia i dalekie jest od dojrzałości politycznej.

Lecz sprawa zaczęła być naprawdę poważna dopiero z początkiem r. 1943, gdy w Moskwie ogłoszono rozporządzenie, na mocy którego pewnej kategorii obywateli polskich odmówiono korzystania z ich polskiego obywatelstwa. Była to pierwsza w obozie narodów zjednoczonych podjęta próba pozbawienia suwerenności jednego z narodów europejskich, sprzymierzonego z mocarstwami demokratycznymi i od pierwszej chwili walczącego z imperializmem niemieckim. Takie próby usankcjonowania podziału Polski, dokonanego przez Niemcy i Rosję w okresie ich współpracy, były — jak wiemy — ponawiane później wielokrotnie i do tej pory nie zostały zaniechane. Obok Polski znalazły się niebawem inne kraje europejskie, jak Litwa, Łotwa i Estonia — które w obecnym konflikcie były od początku neutralne — a ostatnio lista narodów, których niepodległości zagraża już nie tylko imperializm niemiecki, znacznie się powiększyła.

„Realizm" amerykański

Niedawno przedrukowaliśmy na naszych łamach artykuł publicysty amerykańskiego Smitha, który charakteryzował obecną politykę Stanów Zjednoczonych jako politykę imperialistyczną i porzucenie przez Amerykę Karty Atlantyckiej przedstawiał nie jako możliwość tylko, ale jako *fakt dokonany*. Stany Zjednoczone odwróciły się od polityki ideałów międzynarodowych i zwróciły się ku polityce „realistycznej", a więc ku polityce siły.

Jak należy wnosić z artykułu Smitha, Stany Zjednoczone sądzą, że wbrew W. Brytanii i Sowietom nie mogą podtrzymywać polityki demokratycznej, gdyż zbyt silnie naraziłyby na szwank swoje interesy narodowe. Smith formułuje to nawet jeszcze mocniej mówiąc, że „*bezcelowe* i *niemądre* byłoby obecnie obstawanie przy zbyt ścisłym stosowaniu Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności gdziekolwiek na świecie". Co do Europy, pisze on: „jeżeli Rosja zatrzyma państwa bałtyckie", Stany Zjednoczone nie zamierzają „poświęcać dla tej sprawy współpracy z Rosją". Porządek międzynarodowy ma być więc oparty nie na zasadach demokratycznych, ale na stałej współpracy wielkich mocarstw (Ameryki, Anglii, Rosji i Chin). Co prawda sekr. stanu Hull sformułował sześć punktów, zawierających nowe zasady, którymi wielkie mocarstwa mają się kierować wobec swoich mniejszych sąsiadów, ale „jeżeli inne wielkie mocarstwa — pisze Smith — nie zechcą respektować tych zasad w swoich stosunkach ze słabszymi państwami, Stany Zjednoczone nie uważają za konieczne wypowiadać im wojnę w każdym poszczególnym wypadku".

Zdaniem kół waszyngtońskich, na tych ustępstwach Ameryki na rzecz imperialistycznych aspiracji innych wielkich mocarstw nie kończą się bynajmniej możliwości zmian polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. W Waszyngtonie czyni się dwa zastrzeżenia: Stany Zjednoczone będą czuły się zwolnione ze swego „udziału w stałym systemie międzynarodowego bezpieczeństwa" (opartym na współpracy czterech imperiów — przyp. red.), jeżeli naród amerykański „będzie musiał zbytnio gorszyć się polityką zagraniczną, uprawianą przez inne wielkie mocarstwa". Drugie zastrzeżenie jest już znacznie wyraźniejsze: „Rząd amerykański jest przygotowany na ewentualność ograniczenia się do własnych interesów i na ekonomiczny nacjonalizm, gdyby przekonał się, że świat nie jest jeszcze gotów do rozsądnej kooperacji". Oczywiście, słowo „świat" nie oznacza ani narodów zjednoczonych, ani tym mniej wszystkich narodów świata, ale oznacza „inne wielkie mocarstwa".

Artykuł Smitha był pisany w listopadzie ub.r. Czy Stany Zjednoczone nie doszły tymczasem do wniosku, że nowa polityka światowej równowagi czterech wielkich imperiów jest jednak niemożliwa i że nadszedł już czas zainaugurowania polityki „ekonomicznego nacjonalizmu" — oto pytanie, które musimy sobie postawić obserwując posunięcia Ameryki na terenie Bliskiego Wschodu, a więc projekt naftowy p. Ickesa. Bo czyż w tym projekcie nie należy dopatrzeć się owej „czysto yankesowskiej taktyki kupieckiej", która grozi Smith pod koniec swego artykułu? A przypomnijmy, że w Waszyngtonie mówi się ponadto o „silnych tendencjach imperialistycznych", istniejących w amerykańskim wojsku i łatwo mogących „uzyskać wpływ dominujący"!

Zmiany w polityce amerykańskiej nie powinny pozostać bez wpływu na politykę polską. Lecz — mimo, że niewątpliwie najgorszą polityką byłaby polityka strusia — nie powinniśmy z tych przemian wyciągać ani zbyt pochopnych, ani zbyt pesymistycznych wniosków. Ewolucja amerykańskiej polityki jest tylko jednym z symptomów głębszych przemian, jakie zachodzą pod wpływem tej wojny w całym świecie. Kingsbury Smith zapowiada — albo stwierdza, jak kto woli — odwrócenie się Ameryki od ideałów Karty Atlantyckiej. A przecież brytyjscy mężowie stanu nadal powołują się na Kartę Atlantycką i dają wyraźnie do zrozumienia, że pojmują ten dokument nie tylko jako narzędzie propagandowe, ale jako dosyć dokładny wyraz rzeczywistych intencji, jakimi Wielka Brytania kieruje się w tej wojnie i jakie ożywiać ją mają także po wojnie.

To prawda, oświadczenia marsz. Smutsa z listopada ub.r. — choć sam autor pragnął, by widziano w nich jedynie osobiste i subiektywne refleksje — bynajmniej nie wskazywały na to, by w kierowniczych sferach Imperium Brytyjskiego ideologia Karty Atlantyckiej uważana była za niewzruszony fundament nowoczesnej myśli politycznej. Jak tyle innych publikacji angielskich i amerykańskich, odczyt marsz. Smutsa musi być traktowany jako próba zbliżenia się do najgłębszych prawd tej wojny. A te najgłębsze prawdy są z konieczności bardziej wynikiem obiektywnych warunków, niż ludzkiej woli; należy ich raczej szukać w nieustannie przetwarzającej się rzeczywistości, niż próbować je dekretować.

Marsz. Smuts ostrzegał, że Anglia będzie po wojnie uboższa i mniej potężna, niż była przed wojną. Być może, ostrzeżenie to miało raczej zdopingować Anglików, niż deprymować ich. Ale marsz. Smuts w tych przewidywaniach nie jest odosobniony: coraz więcej społeczników, polityków i ekonomistów oblicza siły i możliwości, jakimi Anglia będzie jeszcze rozporządzała po klęsce Niemiec. Toczą się na ten temat dyskusje, pełne sprzecznych głosów i przypuszczeń.

Z drugiej strony, nawet w Ameryce Karta Atlantycka nie przestała być dla wielu wybitnych polityków obowiązującym Amerykanów wyznaniem wiary: dawny rywal Roosevelta z r. 1940, Wendell Willkie, wszczął swą kampanię nominacyjną pod jej hasłem i nawet zdaje się wierzyć, że uda się skłonić Sowiety, by prowadziły politykę zgodną z Kartą Atlantycką.

Na drodze do światowych imperiów

Cokolwiek byśmy o tym wszystkim myśleli, jedno musimy uznać za dosyć pewne: Karta Atlantycka nie stanie się kością niezgody między mocarstwami, tworzącymi koalicję antyniemiecką. Dla nas — niestety — Karta Atlantycka ma nie tylko moralne znaczenie. Jeżeli zobaczymy, że się ją *dziś* nagina do potrzeb chwili, nie będziemy umieli zdobyć się na wiarę, że *kiedyś* będzie stosowana wiernie i bez osłabiających klauzul. Nam najtrudniej będzie pogodzić się z tym, że Karta Atlantycka ma ulec niejako zawieszeniu lub że mają być jej kosztem czynione ustępstwa na rzecz jednego z mocarstw. Bo te ustępstwa czynione będą w rezultacie naszym kosztem.

Dlatego musimy być Amerykanom wdzięczni, że — wbrew powszechnie przyjętym regułom dyplomacji — tak szczerze nazywają po imieniu swoje najbliższe zamiary: musimy — mówią — porzucić Kartę Atlantycką, bo nie chcemy podtrzymywać fikcji, nie chcemy fałszować formuł, które ogłosiliśmy za swoje, pragniemy, by słowa nasze były zgodne z naszymi czynami. Czy jest to tylko próba nacisku na pewne mocarstwa, które wolą *zmieniać treść* wielkich słów, niż dbać o to, by ich czyny były z nimi zgodne? Może!

Mimo tych wszystkich wątpliwości i mimo, że w Karcie Atlantyckiej sformułowanych zostało kilka podstawowych warunków naszej egzystencji politycznej — a może właśnie dlatego! — powinniśmy zdać sobie sprawę, czym w istocie jest moment historyczny, w którym żyjemy. Zbliżająca się klęska Niemiec ma jak dotąd jeden namacalny i wszystkim widoczny skutek: Rosja wyszła ze swojej izolacji i powróciła do polityki nacjonalistycznego imperializmu. Faktu tego nie mogą zaciemnić żadne mniej lub więcej ostentacyjne zmiany form administracyjnych Związku Sowieckiego, bo wszystkie te zmiany są co najmniej dwuznaczne. Polityka sowiecka jest polityką nacjonalistyczną i imperialistyczną, federacja republik sowieckich jest wyrazem ekspansywnych dążeń narodu rosyjskiego. Na fakt ten wskazuje bez fałszywego wstydu Kingsbury Smith i faktem tym tłumaczy zwrot w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Ameryka nie zamierza skłaniać Sowietów do zmiany ich polityki, Stany Zjednoczone widzą się zmuszone przyjąć tę politykę do wiadomości i dostosować się do niej. Waszyngton proponuje więc naprzód trwały sojusz czterech wielkich mocarstw, które mają wyjść zwycięsko z obecnej wojny — pragnie, by sojusz ten szanował prawa mniejszych narodów i by wielkie mocarstwa traktowały mniejsze państwa jako równe sobie — ale gdyby plan ten miał się okazać przedwczesny, Ameryka zdecydowana jest prowadzić politykę egoistyczną służącą wyłącznie narodowym interesom narodu amerykańskiego.

Ten zwrot ku *nacjonalizmowi wielkich imperiów* musimy uważać za bardzo prawdopodobny, nawet gdybyśmy nie chcieli uznać go jeszcze za fakt dokonany. A dobra polityka polega nie tylko na liczeniu się ze stanem faktycznym, lecz także na liczeniu się z tym, co można przewidywać.

Moralne rezerwy Polski

Zbyt długo uczono nas, że los nasz jest ściśle związany z ideałami prawa i demokracji, byśmy w obliczu takiego przełomu nie mieli zdradzać żadnych obaw. Nie powinniśmy ich w sobie tłumić, nie powinniśmy dłużej udawać, że nie dostrzegamy przemian, które z gruntu zmieniają lub co najmniej mogą zmienić także naszą sytuację. Owszem, powinniśmy rozejrzeć się dokoła, czy jeszcze i w tych zmienionych warunkach nie rozporządzamy możliwościami, które moglibyśmy wyzyskać.

Celem naszym jest wolność i niepodległość narodu polskiego. Prawo nasze do narodowej suwerenności zostało jak dotąd zakwestionowane z dwóch stron i choć argumenty jednej ze stron nie znajdują echa w obozie narodów zjednoczonych, to przecież odnajdujemy je w postaci prawie nie zmienionej u obrońców aspiracji strony drugiej. Jesteśmy rzekomo za słabi, by móc istnieć bez oparcia o któreś z mocarstw sąsiednich i by móc kształtować swoje życie według własnej woli. Jesteśmy rzekomo *skazani* na dobrą wolę jednego z wielkich sąsiednich mocarstw, a wiemy już, że ta dobra wola wyraża się w żądaniu całkowitego podporządkowania się przez nas cudzej woli. Znamy tę piosenkę nie od dziś. Możemy na te życzliwe rady odpowiedzieć tylko jednym i wciąż tym samym argumentem: właśnie dlatego, że na rezygnację ze swojej woli nie chcieliśmy się zgodzić — znaleźliśmy się już w r. 1939 *po tej stronie barykady*. Tę decyzję uważamy sobie za naszą wielką zasługę, choć dla nas samych była ona oczywistą koniecznością — koniecznością być może tragiczną, ale tak logicznie wypływającą z naszej sytuacji geograficznej i z całej naszej przeszłości historycznej, że nie ma Polaka, który mógłby się jej zaprzeć.

(*Dalszy ciąg na str.* 8.)

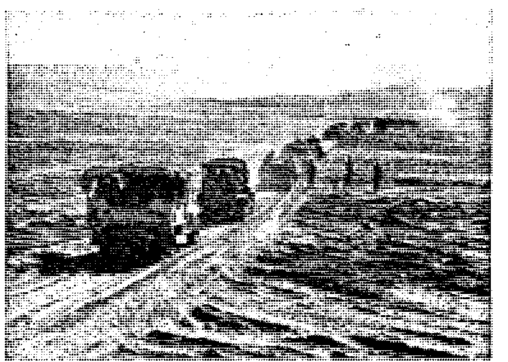

Ku następnemu horyzontowi.

ZYGMUNT SZYMCZYŃSKI

„ZDROWE" GOSPODARSTWA

W związku z artykułem Tomasza Orawskiego pt. „Ziemia i praca", zamieszczonym w nr 1(91) „Orła Białego" z 1 stycznia br., otrzymaliśmy artykuł polemiczny p. Zygmunta Szymczyńskiego — „Zdrowe gospodarstwa", który z uwagi na znaczenie poruszanych zagadnień zamieszczamy poniżej z równoczesną odpowiedzią pierwszego autora.

Dobrze się stało, że na łamach „Orła Białego" ukazał się artykuł p. Tomasza Orawskiego pod tytułem „Ziemia i praca". Jakkolwiek bowiem ogólnie wiadomo, że jesteśmy krajem rolniczym, którego większość ludności (ponad 60%) czerpie dochód z ziemi, to jednak poważne i rzeczowe artykuły w sprawach rolniczych są dość rzadkie w naszej prasie. Zdając sobie sprawę z tego, że my tu na emigracji nie jesteśmy w stanie zbudować jakiegoś planu ogólnego w zakresie reformy naszego rolnictwa, tym mniej uważam za konieczne przedyskutowanie pewnych zasadniczych tez, by uświadomić sobie, gdzie leży zło, a gdzie dobro i do czego należałoby dążyć.

Artykuł p. Orawskiego dotyka kapitalnego zagadnienia — *wielkości podstawowego warsztatu rolnego*. Z artykułu p. Orawskiego łatwiej jest jednak zrozumieć czego on nie chce niż czego chce. Autor jest bowiem przeciwnikiem wielkich gospodarstw folwarcznych tak prywatnych jak i zbiorowych typu koł. czy sowchozu. Nie podobają mu się również gospodarstwa chłopskie o obszarze 20—50 ha i wyżej. Ma on pewne upodobanie do typu gospodarstw jednorodzinnych *beznajemnych*, takich zapewne, które dają pełne zatrudnienie członkom rodziny, bowiem zaleca tworzenie takich właśnie gospodarstw na pozyskanych w przyszłości terenach kolonizacyjnych w Prusach Wschodnich i Śląsku Opolskim, ale w konkluzji nie jest konsekwentny, bowiem dochodzi do wniosku, że „przejścia wojenne nie przyniosą w polskim ustroju rolnym żadnych zmian za wyjątkiem zanikania najemnika na cudzym polu". Autor nie wyraża nigdzie potrzeby przebudowania istniejących gos[illegible] a te gospodarstwa beznajemne [illegible]), boli go tylko praca najemna na [illegible]szość jego wywodów jest przezna[illegible]walczania tego wroga Nr 1.

[illegible]dania sobie sprawy z tego, czy wy[illegible] Orawskiego są słuszne, konieczne jest [illegible]stawowych definicji. Przede wszy[illegible]o jest rolnictwo i jaki jest jego cel? [illegible] jest produkcją wprawdzie odbywającą się w innych warunkach niż przemysłowa, ale i o jego wartości zadecydują osiągnięte wyniki. *Celem przeto rolnictwa jest produkować możliwie dobrze, tanio i dużo.* Tę podstawową i prostą zasadę trzeba mieć zawsze na względzie.

Jak wyglądała nasza przedwojenna produkcja rolnicza? Była ilościowo niedostateczna, przy tym oparta o tak zwaną „podaż głodową", powstałą z niedożywiania rzesz małorolnych, a jakościowo, jeśli chodzi o eksport, biły nas nie tylko kraje o wysokiej i starej kulturze rolnej, jak Dania i Holandia, ale nawet Litwa, która rozbudowę rolnictwa rozpoczęła razem z nami mając do swej dyspozycji więcej ograniczone środki niż my. Notowania nabiału i bekonów litewskich na rynku londyńskim były wyższe niż odnośnych produktów polskich! Mimo planowanej rozbudowy przemysłu, eksport artykułów rolniczych przez szereg lat po wojnie będzie musiał być utrzymany i będzie miał duże znaczenie dla naszego gospodarswta narodowego. Na każdym jednak rynku zetkniemy się z rywalizacją innych krajów, które potrafią produkować tanio towar o wysokiej jakości.

Jeśli zaczniemy poszukiwać przyczyn małej produkcyjności naszego rolnictwa, to logika wskaże nam przede wszystkim wadliwy ustrój rolny. Z ogólnej liczby 3.261.000 gospodarstw rolnych w Polsce było 2.260.000 o powierzchni od 5 ha w dół, z tego 1 milion poniżej 2 ha. Zapas zaś parcelacyjny wynosił około 2.5 mln. ha, mógł on w najlepszym razie wystarczyć na upełnorolnienie około 10% gospodarstw małorolnych. Rzesze małorolnych były nie producentami ale konsumentami artykułów rolniczych takich jak zboże, jak to swego czasu publicznie w Sejmie oświadczył minister rolnictwa. Rolnik małorolny nie był również kosumentem towarów przemysłowych, a przecież truizmem ogólnie uznanym dziś jest przekonanie, że rozbudowa przemysłu musi się oprzeć o konsumpcję wewnętrzną, bowiem nawet tak uprzemysłowiony kraj jak Ameryka eksportował w roku 1938 tylko 1/16 swej produkcji przemysłowej. Niczym nie krępowane rozproszkowanie własności ziemskiej postępowało jak lawina. Temu w pierwszym rzędzie należy przypisać niską produkcyjność naszego rolnictwa. Gdy bowiem dochód społeczny rolnika na głowę wynosił w Ameryce 6.000 zł. rocznie, w Anglii 2300, w Czechosłowacji 1240, to u nas tylko 614 zł. Ten sam rolnik polski, skoro *znalazł się* w Brazylii czy innym kraju, gdzie mógł gospodarować na odpowiednio dużym kawałku ziemi, dorabiał się w ciągu kilkunastu lat ładnego majątku, o powierzchni raczej zbliżonej do gospodarstw wielkochłopskich 20—50 ha, tak niemiłych p. Orawskiemu.

Tymczasem w Polsce dużo rolników posiadało własny kawałek ziemi, ale nie miało kawałka chleba, nie miało nawet dostatecznej ilości ziemniaków, a tyfus głodowy nie wygasał w wielu wsiach polskich. Ten stan rzeczy nie był winą rolników, bowiem *produkcja rolnicza może być racjonalnie prowadzona tylko na odpowiednio wielkiej powierzchni*, która z pewnością leży powyżej 2 i nawet powyżej 5 ha. Czy przeto słusznym jest oczekiwanie p. Orawskiego, że „przejścia wojenne nie przyniosą w polskim ustroju rolnym żadnych zmian"? Ależ byłoby to niesłychanie tragiczne pod każdym względem, a nawet zagrażające istnieniu państwa i narodu, gdyby ta wielomilionowa rzesza małorolnych pozostała w tej samej sytuacji jak przed wojną.

Według mego przekonania i sumienia, nie tylko należy sobie życzyć radykalnej zmiany naszego ustroju rolnego, ale walczyć o te zmiany wszelkimi sposobami. Oczywiste jest, że w pierwszym rzędzie należy w drodze ustawodawczej położyć kres dalszemu rozdrobnieniu własności ziemskiej przez zabronienie podziału gospodarstw poniżej zasadniczej minimalnej powierzchni. Równolegle należy określić tę odpowiednią wielkość gospodarstwa, optymalną dla naszych warunków. Jest to zadanie trudne i skomplikowane, zależy bowiem od wielu czynników takich jak: rodzaju gleby, klimatu, typu gospodarstwa, odległości rynków zbytu itd.

Nie jestem zwolennikiem gospodarstw zbiorowych typu kołchozu, podobnie jak p. Orawski, uważam bowiem, że może istnieć ono albo pod przymusem jak w Rosji, albo na podstawie wysokiej ideowości i idealizmu młodzieży inteligenckiej. W naszych warunkach tworzenie tego typu gospodarstw, choć teoretycznie dających najlepsze możliwości stosowania techniki rolniczej, byłoby co najmniej ryzykowne.

Przystępując do określenia minimalnej powierzchni zasadniczego warsztatu rolnego musimy sobie uprzytomnić, że ustrój rolny łatwo jest popsuć, ale bardzo trudno naprawić, że tworzyć należy z myślą *o przyszłym postępie*, który musi się wyrazić w ułatwieniu i usprawnieniu pracy ludzkiej przez przynajmniej częściowe umaszynowienie naszych gospodarstw rolnych. Mówiąc o maszynach mam na myśli przede wszystkim traktor, choć nie wyłącznie, bowiem maszyn można by użyć tak dobrze do orki jak też do młocki, silosowania ziemniaków i zielonki, sztucznego suszenia siana itd. Jest rzeczą bardzo trudną wybrnąć z tych przeciwstawnych postulatów: możliwie wielkiej powierzchni, jak nam technika rolnicza wskazuje i możności zapewnienia możliwie wielkiej ilości osób dochodu z ziemi na własnym gospodarstwie. Tu musi zadecydować przytoczona na początku zasada, że celem rolnictwa jest produkować dużo, dobrze i tanio. Osobiście mnie zarysowuje się takie rozwiązanie: stworzenie gospodarstw typu rodzinnego, z tym, że nabrałyby one tego charakteru dopiero po wprowadzeniu maszyn do pomocy, stopniowo zwalniając potrzebnych im do tego czasu najemników. Natężenie pracy bowiem w rolnictwie jest na ogół bardzo nierówne, po słabym w zimie, zwiększa się w okresie upraw wiosennych i zabiegów pielęgnacyjnych, po czym opada, by osiągnąć swe maksymalne natężenie w czasie żniw, siewów ozimin, wykopek, młocki itd. To nierówne natężenie pracy powoduje utrzymywanie zbytecznego sprzężaju i zbytecznych normalnie najemników. Wydaje mi się, że z tym sezonowym nadmiarem pracy należy się uporać przy pomocy maszyn, a wielkość gospodarstwa dostosować do możliwości obrobienia przez rodzinę rolnika w pozostałych okresach. Ten typ gospodarstwa będzie miał powierzchnię od 10 w górę do jakichś 40 ha, zależnie przede wszystkim od jakości gleby i szeregu innych czynników. Byłoby to gospodarstwo zbliżone powierzchnią do niemieckich gospodarstw wielkochłopskich, opartych początkowo w pewnej mierze o użycie pracy najemnej.

Tej pracy najemnej w rolnictwie nie uważam za takie nieszczęście jak p. Orawski. Praca najemna szeroko jest stosowana w przemyśle, handlu i rzemiośle i nikt jej nie uważa za zło. Jest pewna ilość osób, które nie nadają się do samodzielnego prowadzenia gospodarstwa rolnego, a których praca powinna być podporządkowana kierownictwu innych jednostek, więcej uzdolnionych i fachowo lepiej do tej roli przygotowanych. Nie wiem, jak jest w Danii, wiem natomiast, że w polskich gospodarstwach tego typu, tylko ten gospodarz wyciągał z pracy najemnej korzyść równoważną do zapłaty, który nie tylko nadzorował tę pracę, ale i własnym przykładem pociągał ją do wyższej wydajności. Praca najemna nie jest na pewno najlepszym wyjściem dla tych gospodarstw, które, jeśli tylko koniuktura im pozwoli, będą dążyć do zastąpienia jej maszynami. Ten typ gospodarstw opartych w znacznej mierze o pracę rodziny wykazał swoją wartość tak pod względem produkcji jak i siły konsumpcji u nas głównie w Wielkopolsce, w sąsiedniej Litwie i Łotwie itd.

Jak określić dokładnie powierzchnię takich gospodarstw dla danych lokalnych warunków, jak realizować utrzymanie istniejących i powstawanie nowych, co zrobić z nadmiarem ludności wiejskiej, to są kwestie dalsze, które nie dadzą się zamknąć w ramach jednego artykułu, a które należałoby przedyskutować odrębnie.

Końcowy zwrot artykułu p. Orawskiego, mówiący o konieczności zlikwidowania podziału na dziedziców i parobków, mógłby wytworzyć w mniej świadomym czytelniku przekonanie, że wystarczy odebrać ziemię „dziedzicom", a wszystko będzie dobrze. Jest to znany konik, którego z upodobaniem dosiadali różni panowie chcący odwrócić uwagę rolników od właściwych przyczyn ich niedoli, dlatego nie warto wyciągać z lamusa tego straszaka, choćby to znów miało być modne! Wielka własność posiadała około 1938 roku mniej więcej 5 milionów ha, Z tego połowa pozostanie z pewnością po wojnie rozparcelowana, reszta powinna pozostać jako gospodarstwa nasienne, zarodowe i inne specjalne, jako ogniska kultury rolnej. Te 2.500.000 ha stanowi zaledwie 10% ogółu naszych użytków rolnych wyrażających się cyfrą 25.825.000 ha. Rozparcelowanie tej powierzchni nie przyniesie ani zasadniczej, ani znaczniejszej poprawy naszej struktury rolnej i dobrobytu naszych rolników.

TOMASZ ORAWSKI

„Reformowanie" rolnictwa

Pisząc o pracy na ziemi, nie zamierzałem poruszać całości zagadnień gospodarczych wsi, a już tym mniej szkicować „reformy" rolnictwa. Zależało mi jedynie na uprzytomnieniu czytelnikom, jakie procesy psychiczne ogarniają zapewne polskich rolników. Dopatrywałem naturalnego narostu dążeń do posiadania własnego gospodarstwa.

Mój Szan. Oponent ceni widocznie tylko zjawiska gospodarcze i porusza je w wielkiej obfitości tematów. Nie zdołam przeto odpowiedzieć wyczerpująco, zwłaszcza gdy się okazuje niezbędnym ustalenie szeregu wiadomości wstępnych. Poruszę zatem jedynie parę założeń podstawowych — pozostawiając czytelnikom wnioskowania.

W zakresie spraw rolnych, dotyczących publicznego gospodarstwa, istnieje kilka faktów o znaczeniu tak kapitalnym, że bez posiadania ich stale w pamięci, zabieranie głosu w sprawach wsi musi prowadzić do błędów.

1) Produkcyjność każdego ha ziemi jest tym wyższa, im drobniejsze jest gospodarstwo, to znaczy: wartość wszystkich produktów gospodarstwa, przeliczona na 1 ha maleje w miarę wzrostu gospodarstwa. Zjawisko jest stałe, potwierdzone przez statystykę wszystkich bez wyjątku krajów europejskich, gdzie zagadnienie to badano.

Dla Polski liczbowo wygląda to tak, że jeżeli przychód surowy na 1 ha w gospodarstwie o 30—50 ha przyjmiemy za 100, to w gospodarstwie o 3—5 ha mamy 225, a w gospodarstwie o 2—3 ha aż 253. Co więcej — nie tylko produkcja brutto z ha małego warsztatu jest tak jaskrawo wyższa, ale także tzw. dochód rolniczy, czyli to, co przypada chłopu jako jego zysk i zapłata za pracę, jest daleko większy. Oto w Polsce dochód rolniczy z 1 ha jest trzy — do pięciokrotnie wyższy w gospodarstwie 2—3 ha niż w 30—50 ha.

Zjawisko właściwie bardzo naturalne. Praca całej rodziny — jej istotna podstawa egzystencji — zostaje skoncentrowana na mniejszym obszarze. Kto jako tako sprawy wsi rozumie, wie, że chłop nie żył i nie żyje z renty gruntowej — z niej może żyć dopiero wielowłókowy dziedzic. Ziemia pozwala chłopu spieniężyć jego pracę. Płaci mu lepiej lub gorzej, zależnie od tego, czy nie ma tej pracy nadmiaru. W gospodarstwie b. drobnym część pracy jest zbędna — i wtedy następuje nędza. Dlatego to ziemia jest tak bezcenna i dlatego to poziom życia chłopów wcale nie jest proporcjonalny do obszaru. Na 10 ha nie żyje rolnik pięć razy suciej niż na 2 ha, rozpiętość będzie tylko nieco wyższa od dwukrotnej.

Aby uniknąć nieporozumień, powtarzam tezę w innej formie. Gdybyśmy 10 gospodarstw po 2—3 ha połączyli w jedno i powierzyli jednej rodzinie, to wg. naszych przeciętnych, produkcja spadłaby przeszło o połowę, co nie przeszkadzałoby temu, że ta jedna rodzina miałaby się 2—3 razy lepiej, niż każda z dawnych dziesięciu. Natomiast pozostałe 9 rodzin — o ile nie zostałyby wywiezione zagranicę lub wymordowane i o ile nie nastąpiłby fantastyczny, wielomiliardowy wkład kapitałów w nasze rolnictwo — nie miałyby co jeść w Polsce. O zamierzeniach eksportowych trzeba by wówczas w ogóle zapomnieć. Tymczasem mój Oponent zdaje się być szczerze przekonany, że występując za gospodarstwami wielkochłopskimi, walczy o wyższą produkcyjność. Obawiam się przytem, że nie rozróżnia należycie pojęcia produkcyjności od zdolności dostaw na rynek, a w tych dostawach widzi jedyny miernik użyteczności społecznej, jakby narodowo ważna była jedynie mieszczańska konsumpcja, nie miało zaś żadnego znaczenia, ilu ludzi wyżywi się na wsi. W ogóle zbliżanie się do rolnictwa wyłącznie jak do warsztatu produkcyjnego może być jako tako bronione ze stanowiska prywatno-gospodarczego, natomiast interes publiczny nakazuje pamiętać, że rolnictwo jest przede wszystkim zespołem *ludzi* na ziemi.

2) Pewną i łatwą drogą dla rozwoju rolnictwa naszego było uzależnienie się od Niemiec. Gotowe one były odbierać po dobrych cenach nasze zboże, cukier czy mięso, dostarczać tanich maszyn, czy nawozów sztucznych, również tanich ubrań i domowych sprzętów. Tylko zdecydować się pozostać na stałe dostawcą surowców dla Niemiec, a odbiorcą ich towarów przemysłowych. Tylko zrezygnować z ambicji do pełnej samodzielności, a stać się składową częścią ich gospodarstwa. Tak właśnie poszła Litwa i wszystko układało się jej świetnie. Nie było troski o zbyt, ani o dobrą cenę. Tanie, obfite kredyty w maszynach i instalacjach pozwoliły wcześnie zmodernizować mleczarstwo, zmontować bekoniarnie i wzbogacić spółdzielczy handel.

Ale oto Polska zrobiła inaczej. Uparła się, że będzie dźwigać swój przemysł, kazała rolnikom płacić szczególnie drogo za fabrykaty, za to „że swoje" (słynne nożyce cen), przyjęła wojnę celną z Niemcami, zepchnęła jej główny ciężar znowuż na rolnictwo odbierając mu bliski, znany i dobry rynek niemiecki i zmuszając nasz słabo zorganizowany handel eksportowy do szukania rynków nowych w pełni światowej konkurencji. Płaciło rolnictwo za tę politykę swoim dobrobytem, ale służyło jak najlepiej przyszłości kraju, wiedziało, że z dzisiejszych ofiar wyrośnie samodzielność przemysłowa, na niej się mocniej wesprze i samodzielność polityczna.

Ale oto w piątym roku wojny z Niemcami mój emigracyjny Oponent każe bić się w piersi, żeśmy nie naśladowali małej, wygodnej Litwy, zazdrości jej rolnikom. Oponencie łaskawy, dobrze jest czasem pomyśleć, jakiż to właściwie zarzut czyni Pan krajowi?

3) Rozdrobnienie gospodarstw nie jest przyczyną ich „małej produkcyjności", przeciwnie, podnosi produkcję rolniczą jako całości — natomiast bezspornie jest przyczyną biedy właścicieli karłowatych gospodarstw. Środkami zaradczymi są: a) odpływ ludności wiejskiej du miast lub do innych zawodów na wsi, b) powiększanie obszaru działek przez reformę rolną, c) powiększanie gospodarstw o nie zmniejszonym obszarze przez wyższy wkład kapitału — jak mówimy, podnoszenie intensywności. Żaden z tych środków nie rokuje cudów, wszystkie razem są niezbędne i wymagają wysiłku, czasu i ofiarnej pracy. Toteż zdają się nie wzbudzać zaufania mego Oponenta. O reformie rolnej sądzi on bezzasadnie, że mogłaby ona tylko 10% istniejących gospodarstw upełnorolnić. Braków kapitału zainwestowanego w rolnictwie nie bierze pod uwagę, gdy porównywa dochód społeczny naszego rolnika i Anglosasa. Lekceważy to, że wkład dokonany u nich na każdym ha jest 2—3 razy większy niż u nas, że zatem dopiero po dodatkowym włożeniu wielu miliardów zł. możnaby stosować wymagania zachodnie. Nadto porównanie swe podaje nie na 1 ha, ale na głowę, gdy rolnicza ludność tamtych krajów jest o tyle rzadszą niż w Polsce. To wszystko jest nieważne, bo Oponent mój zna inny, łatwy, „oczywisty" środek: prosty *zakaz podziału* gospodarstw.

W b. Galicji między rokiem 1780 a 1910 dwukrotnie porywano się na zakaz podziału i dwukrotnie zarządzenie cofnięto. Rosło tylko omijanie prawa. W Królestwie Kongresowym istniał rosyjski zakaz podziału poniżej 6 mrg. (ok. 3 ha) i wcale drobienia nie opanował, stwarzał tylko zamęt w formalnym stanie posiadania. W b. zaborze pruskim utrzymanie się wielkochłopskich gospodarstw i utrzymanie ponad 40% obszaru rolnego w ręku dworów zostało okupione obfitym upustem krwi polskiej na emigrację do Westfalii i do Stanów Zjedn. Między 1880 a 1895 ludność polska w Westfalii wzrosła ze 100 tys. na 400 tys. Dokądże to teraz amatorzy folwarków i gburskich gospodarstw każą ludziom wyjeżdżać?

4) Cechy pracy najemnej w rolnictwie są inne, niż w pozostałych działach produkcji. Większa skala zależności od pracodawcy oraz bezbronność gospodarcza w porównaniu z robotnikiem przemysłowym — są oczywiste. Toteż we wszystkich badaniach społecznych występuje wyraźnie, że środowisko najemników rolnych wyjątkowo nie sprzyja rozwojowi kulturalnemu swych członków.

Wiemy też, jak wytrwały opór budziła sprawa podnoszenia poziomu życia dworskiej służby. Ani minimalne wymagania higieniczne co do mieszkań — jak drewniane podłogi, podwójne okna — ani istotne dotrzymywanie fornali do wieku emerytalnego, nie zostały zrealizowane. Istniały zarządzenia, ciągle w terminach odraczane i ku wstydowi Polski zostawiliśmy nawet w województwach zachodnich (nawet w samym powiecie poznańskim) większość folwarków o jawnie złych mieszkaniach służby.

Bytowanie parobków u chłopów miało większą jeszcze skalę wahań. Nie sięgała tu kontrola, ani zbiorowa umowa. Począwszy od wręcz dobrych warunków w chłopskiej rodzinie, a skończywszy na zupełnej poniewierce u chciwego „gbura" — różnie się działo.

Należało przeto witać z uczuciem ulgi znikanie każdego „czworaka" z polskiej ziemi jako wygasanie resztek okresu pańszczyźnianego, a ubytek liczby parobków u gburów trzeba było rejestrować z miłą świadomością, że kurczy się oto kategoria ludzi skazanych na najbardziej przypadkowe zależności i najbardziej trudne drogi awansu społecznego. W połowie XX wieku dawny najemnik rolny stawał się anachronizmem.

Natomiast mój Oponent zdaje się być wyznawcą dziwnego przeznaczenia, które stwarza osoby niezdolne „do samodzielnego prowadzenia gospodarstwa", a tym nie należy się inny los, jak los najemnika.

Formułując w powyższy sposób główne cechy sprawy rolnej w Polsce naturalnie nie prorokuję jej niezmienności, a tylko nie widzę podstaw do *„radykalnych* zmian". (Mój Oponent cytując zdania, z którymi polemizuje, opuszcza niektóre wyrazy, zapewne przez roztargnienie).

Zmiany oczywiście będą. Niejedną poniemiecką zagrodę obejmie nasz rolnik, niejeden folwark ustąpi doskonalszej dla życia narodowego formie — samodzielnej, beznajemnej gospodarce chłopskiej; niejedna wieś zakwitnie w daleko posuniętych formach spółdzielczości, sama dostarczając pracowników inteligentów. Będzie zatem na ziemi nieco więcej luzu, ale nie przyjdzie żaden cud. Nie sypną się miliardy i nie stanie się nasz rolnik tak zamożny jak zachodni — będzie musiał sam budować swój dostatek, powoli i w trudzie. Nie ustaną ofiary rolnictwa na rzecz polityki uprzemysłowienia — bo to są Polski konieczności, a nic nie przychodzi darmo.

Im większej zaś ulgi dozna przeludnienie wsi, tym droższa będzie praca, tym więcej przesunie się wskazówka od najemnego gospodarstwa do beznajemnego i to będzie wielkie dla jutrzejszej Polski szczęście.

Kieruję do mego Oponenta dwie prośby:

Pierwsza — by zaglądał częściej do Rocznika Statystycznego, a mniej polegał na przygodnych, nierzeczowych informacjach. Dojrzy wówczas, czego Polska dokonała, a czego *jeszcze spełnić nie mogła*, stanie mu przed oczami inny obraz prawdy.

Druga — by z tą samą pogodną, rolniczą miłością, z jaką zapewne myśli o pachnącej roli do siewu przygotowanej i o złotym zbożu szeleszczącym pod żniwiarką — zechciał także myśleć o tych setkach tysięcy prostych serc polskich, które biją w wysiłku na cudzych polach, a tak samo tęsknią do swobodnej pracy i tak samo są spragnione trwałej, ogarniającej pokolenia całe, łączności swego trudu i swoich myśli *ze swoją rolą*.

WITOLD DOMAŃSKI

POWRÓT DO EUROPY

(Korespondencja własna „Orła Białego")

Miasto we Włoszech, w styczniu.

Gdy okręt wpływał w miejski kanał nawigacyjny, wszyscy wygramolili się na pokład. I cóż dziwnego? Przez tyle dni nie widzieliśmy wokoło siebie nic, tylko morze i inne statki płynące w konwoju. Teraz patrzyliśmy na Europę.

Bagatela. To łatwo powiedzieć „patrzymy na Europę", ale co innego oglądać wprawdzie typowe miasto włoskie z kolorowymi domami i zielonymi żaluzjami w oknach, ale przecież miasto europejskie. Przy balustradzie nad kanałem tłoczyli się ludzie. Patrzyli na nas, my patrzyliśmy na nich. Pamiętam, że serce biło mi mocno. Gdy barka wyrzuciła naszą partię na piasek nadbrzeżny, była godzina 14.45. Żołnierskie buty, zdarte na afrykańskich i azjatyckich bezdrożach, stanęły znów na kontynencie europejskim.

Pierwsze spotkanie

Powrót na kontynent stał się rzeczywistością, a przecież do niedawna był przedmiotem marzeń. Stoimy na piaszczystym brzegu i szeroko otwieramy oczy na oglądany obraz. Istnieje chyba jakaś jedność europejska. W tamtej chwili mózg każdego z nas pracował ze zdwojoną intensywnością aby zrozumieć do dna sens otaczającej nas nowej przygody. Europa powitała nas dziećmi. Jesteśmy ciągani za rękawy, nagabywani, zaglądają nam w oczy — piękne włoskie bambina. Te bambina kiedyś, w nierzeczywistym niemal życiu przedwojennym, uważane były za najpiękniejsze dzieci świata. Teraz oglądamy je w zdartych bucikach, bez pończoch. Piękne dziecinne oczy — podpuchnięte i sine. Tę pieczęć głodu zna każdy, kto widział dzieci warszawskie pod okupacją. Dzieci dopominają się o papierosa, o zapałki. Na pewno tego papierosa same nie wypalą. Najwidoczniej papieros jest tutaj czymś w rodzaju monety obiegowej. Opanowuje nagle myśl, że się to już gdzieś widziało. Gdzieś przedtem...

Europa podała nam swój bilet wizytowy.

Konfrontacja z rzeczywistością

Następnego dnia oswoiliśmy się z zielenią trawników, rozesłanych pod koronami oliwek. Droga przed folwarkiem przypomina nasz polny trakt. Poubierane w kiecki wieśniaczki, w chustkach na głowie, potęgują jeszcze bardziej ten nastrój swojskości. Tylko przysadkowate palmy i kolczaste agawy mówią, że południe upomina się tu jeszcze o swoje prawa. Kiedy wyjść na wzgórze koło nas, widać dobrze miasto i lazurowy kołnierz morza. To miasto ma w sobie coś z zakazanego owocu, co potęguje jego atrakcyjność. Przecież do niedawna każdy mógł przyjechać tutaj jako jeniec wojenny. Miasto więc prawie nieprzyjacielskie, a my w nim prawie jako zdobywcy. W mieście poza tym są mężczyźni, kobiety — trzeba przecież popatrzyć im w oczy, trzeba odetchnąć atmosfera ich życia.

Dlatego pewnie na ulicach widać tylu naszych żołnierzy. Jest tu co oglądać, a nikt chyba nie jest lepiej od nas przygotowany do zrozumienia tego obrazu. Pojmujemy wymowę bombami pogruchotanych domów. Wśród ulicy, na której nie uprzątnięte rumowisko zalega chodniki, czujemy się jakby swojsko. Oczy podniesione w górę na rozpękłe ściany — ściany domów jeszcze zamieszkałych, też napotykają znajomy obraz. Bo są to oczy, w których nie zatarła się jeszcze pamięć własnych rozbitych miast.

Ale przecież nie całe miasto leży w gruzach i nie całe życie w nim zmiotła wojna. W nowszej części miasta nie widzi się zniszczeń. Ale za to dobrze zadomowił się tutaj inny ambasador wojny — bieda. O, tej jest pod dostatkiem! Idziesz ulicą — oczy przechodniów przygasłe, twarze wytrzebione z uśmiechu. Kobiety nie noszą pończoch, nie noszą — bo przeważnie nie mają. A kiedy zagwiżdże lodowaty podmuch od gór Kalabrii, kiedy zamiecie kontynentalnym ziąbem, który nie docierał do nas w Afryce, wówczas my, ubrani w ciepłą angielską wełnę kulimy się w naszych płaszczach. Cóż dopiero ci biedacy. Nie mają oni tu jedwabnego życia — to pewne. Ilu z nich nie jadło dzisiaj obiadu?

W tym wszystkim śmieszna, trochę groteskowa i trochę wzruszająca jest ta elegancja, która mimo tylu przeciwności walczy o prawo do życia. Bo kobiety usiłują tutaj być eleganckie. Tak eleganckie jak warszawskie dziewczęta z r. 1940. To wszystko, co mają na sobie, jest dobrze znoszone, ale heroicznym wysiłkiem doprowadzone do pozorów szykowności. Oczy, w których czai się niedostatek — podczernione, wargi — wymalowane jaskrawo, palce, zmuszane co dzień do ciężkiej pracy — wypielęgnowane starannie.

Tyle o kobietach. Mężczyzn po cywilnemu ubranych spotyka się mało. Sporo natomiast chodzi jeszcze w mundurach, ci jednak wyglądają żałośniej od cywilów. Są oni wymownym dowodem rozsypywania się armii. Porozpinani, okłapli, nie ogoleni — sprawiają raczej wrażenie jeńców, którym zezwolono przebywać na wolności, niż aktywnego wojska. Sporo też widuje się marynarzy. Wieczorem wszyscy są już przeważnie pijani i śpiewają chóralnie neapolitańskie pieśni. Trzeba im przyznać, że robią to z talentem. Zresztą też są nie ogoleni i niechlujni. Państwo faszystowskie pękło jak stara kanapa, z której wyłażą sprężyny.

Warszawa po 1939 r.

Główna ulica miejska nosi mniej śladów wojny. Jeśli przechodzić nią o 10 rano, odbiera się złudzenie normalnego życia. Złudzenie. Bo już o pierwszej sklepy zostają zamknięte aż do następnego dnia. Właściwie można by ich przez cały dzień nie otwierać, bo i tak trudno w nich coś kupić. Na półkach raczej pustki — brakuje artykułów pierwszej potrzeby, mąki, cukru, tłuszczów. Skąpe racje przydziałowe rozprzedawane są w okamgnieniu. Jeżeli przechodząc ulicą zobaczycie ludzi stojących w ogonku przed sklepem, oznacza to, że sklep sprzedaje mięso, chleb lub papierosy na kartki. Na ogół odczuwa się brak tkanin. Kawy i herbaty nie oglądano we Włoszech od czterech lat. Taka jest sytuacja w mieście europejskim, które stosunkowo niewiele ucierpiało w tej wojnie. Jaka sytuację zastaniemy, gdy pójdziemy dalej na północ?

Chcąc kupić cośkolwiek należy wejść na kręte ścieżki pokątnego handlu. Spróbujmy na przykład kupić żarówkę. W sklepie z przyborami elektrycznymi właściciel przyjmuje nas z wyszukaną uprzejmością, po czym informuje, że cały zapas żarówek został wyprzedany przed miesiącem. Fabryka znajduje się w Mediolanie. Wychodząc ze sklepu przypominamy sobie wypróbowane warszawskie sposoby. Wstępujemy naprzód do fryzjera. „Parruchiere" również jest bardzo grzeczny, ale zapytany o pośrednika rozkłada ręce ilustrując tym swoją bezradność. To samo niepowodzenie spotyka nas i przy następnych próbach. Kelner w kawiarni, szatniarz w restauracji grzecznie informują nas, że nie wiedzą. To w końcu wydaje się już podejrzane. Znamy przecież klucz od mechanizmu, który porusza życiem pod okupacją. Okupacja? — łapiemy się na tym słowie. Tak, właśnie ten termin pozwala nam szybko rozszyfrować zagadkę. Bo gdy w Warszawie wszyscy byliśmy w milczącej zmowie przeciwko okupantowi, tutaj odczuwamy to ciche sprzysiężenie na sobie.

Porównanie to jest zresztą przejaskrawione, ponieważ Włoch nie pała nienawiścią do aliantów. Mamy tu raczej do czynienia z pewną naturalną irytacją na widok obcych wojsk we własnej ojczyźnie. Nie trzeba zapominać, że jeszcze rok temu sztandar włoski powiewał w Arenach, a „armata italiana" sięgała po Kair i Suez.

Mury miejskie upstrzone są plakatami. Na świeżo zamalowanych farbą napisach w rodzaju „Duce ha sempre ragione" ponaklejano podobizny uśmiechniętego Churchilla i uśmiechniętego Roosevelta. Z gmachów faszystowskich odłupano ozdobne rózki liktorskie, zdjęto napisy „fascista". Nie można jednak tymi doraźnymi sposobami zatrzeć niedawnej przeszłości. Przypomina o niej wszystko. I ... ki do golenia „Etiopia" i pasta d... „Impero" i kawiarnia „Tobruch" ... z zabawkami „Tripoli". Nie tr... zatem dziwić rozgoryczeniu Włoc...

W mieście wprowadzona jest ... policyjna. Większość kin i teatrów zaoparrzona w napisy „out of bounds". Jeszcze wymowniejsze są umieszczone w widocznych miejscach tabliczki „Avoid V. D." (Veneral Diseases), „Will your child be born blind", ostrzegające przed pochopnym uleganiem pokusom.

Żołnierze nie czują się dobrze w tym mieście. Maleje liczba wydawanych przepustek — amatorów do korzystania z nich coraz mniej. Natomiast w niedziele, w pogodne popołudnia można spotkać naszych żołnierzy na drogach, wśród pól, wśród folwarcznych zabudowań. Krajobraz bardziej od miasta przypomina Polskę, ponieważ krajobraz jest bezimienny. Bardziej przedsiębiorczy robią dłuższe wycieczki po wino (a może nie tylko po wino) do malowniczych wiosek, rozrzuconych wśród wzgórz. W zimowe i deszczowe dni wszyscy siedzą w namiotach. Najpospolitszym tematem rozmów jest zagadnienie, kiedy się wojna skończy.

— Byle by tylko do marca wytrwać, wzdycha Tworek, który zostawił sweter w „rzucie kołowym" i kostnieje z zimna.

— E, to tylko styczeń taki zimny, w lutym już cieplej — pociesza Kornacki. W lutym wół się już wody napije, a w styczniu jeszcze nie chce...

Przez kilka pierwszych dni wojsko cieszyło się tą Europą, a teraz jest osowiałe i bez humoru. Wozy zostały za morzem i nie wiadomo kiedy przypłyną, a bez samochodu żołnierz karpacki czuje się jak przetrącony. Tymczasem zapełnia sobie jakoś czas, chodzi na marsze w pełnym rynsztunku, czyta komunikaty z frontu w „Gońcu Karpackim" i chciałby już raz wreszcie pójść na front.

Ale dni mijają i najgorsze będzie wkrótce za nami. Czeka nas wiosna we Włoszech, wiosna, z którą łączymy tyle nadziei. Gdzie zastanie nas tegoroczne lato?

Ale co tam sięgać tak daleko. Dziś już dziesiąty. Grunt styczeń przetrzymać. Bo w lutym już i wół się wody napije...

JAN ZBIGNIEWSKI

"QUIETA NON MOVERE"

(Korespondencja własna „Orła Białego")

M. p. w lutym 1944 r.

Jest pewna analogia między dzisiejszymi Włochami a Hiszpanią w okresie wojny domowej 1936/39: jak tam odbyła się generalna próba obecnej wojny, tak we Włoszech odbywa się generalna próba porządku politycznego, który ma zapanować w Europie po klęsce Hitlera. Władze anglosaskie ściśle stosują we Włoszech oswobodzonych zasadę, że armia okupacyjna nie powinna interweniować w życie polityczne kraju. By jednak nie popełnić błędu przy ocenie tego zjawiska, musimy przede wszystkim pamiętać, że Włochy są krajem *wrogim*, a następnie, że Włochy południowe nie mogą uchodzić za reprezentatywne dla stosunków politycznych w całych Włoszech.

Wolność dyskusji politycznej, jakiej Włosi nie zaznali od przeszło dwudziestu lat, wytworzyła pewien przerost politykierstwa. Włosi wyżywają się w politykowaniu, które — zdawałoby się — jest im bardziej potrzebne do życia, niż dobrobyt. Na tym tle zrozumiałe się staje nagminne donosicielstwo, węszenie wszędzie za faszystami lub koneksjami faszystowskimi, które gdyby nie umiar oraz sceptycyzm anglosaskich władz wojskowych — mogłyby doprowadzić do zjawisk niepożądanych.

Czynnych jest obecnie na terenie Włoch wyzwolonych osiem partii, z których tylko dwie są pro-rządowe — partia marsz. Badoglio o zabarwieniu liberalno-demokratycznym — ale właśnie ta partia — jak się zdaje — nie ma żadnych form organizacyjnych oraz najbardziej aktywna ze wszystkich partii włoskich — monarchistyczna partia „L'Unione" wydająca tygodnik o tej samej nazwie. Popiera ona zdecydowanie króla Wiktora Emanuela III. Została założona niedawno, a swój kredyt moralny czerpie z faktu wejścia do akcji na froncie oddziałów włoskich, często odwiedzanych przez następcę tronu, ks. Umberto.

Liczebność tej partii, powstałej ok. 20 grudnia ub. r. trudno obecnie stwierdzić. Partia Badoglia oceniana jest na 10—15%. Wydaje ona dziennik „La Gazetta del Mezzogiorno" oraz tygodnik „Voce del Popolo", poświęcony głównie omawianiu sytuacji międzynarodowej Włoch.

Spośród partii opozycyjnych wysuwają się na czoło dwie: Partito d'Azione" („Partia Czynu"), założona z dawnych zwolenników „Popolari" oraz partia liberalno-demokratyczna Sforza-Croce. „Partito d'Azione" oceniana jest na 25—30%, partia Sforza-Croce na ok. 10%. Pierwsza z tych partii jest zdecydowanie antyrządowa zarzucając marsz. Badoglio, że nie tępi faszystów z dostateczną konsekwencją oraz że nie wyzyskała upadku Mussoliniego dla natychmiastowej kapitulacji, a obecnie zbyt silnie popiera króla. Liczebność tej partii tłumaczy się tym, że „Popolari" nawet w czasach faszystowskich mieli pewne możliwości agitacji i działania w terenie. Obecnie traci ona zwolenników na rzecz „L'Unione" a także innych partii, zwłaszcza komunistycznej i liberalno-demokratycznej Sforza-Croce.

Ta ostatnia partia opiera swoje wpływy na bliskich stosunkach jej przywódców — przeważnie repatriowanych z krajów anglosaskich emigrantów — z kołami angielskimi i amerykańskimi. W wydawanych przez siebie tygodnikach „L'Idea Liberale" i „La Rinascita" propaguje ona bliskie duchowi anglosaskiemu idee gospodarcze i wyzyskuje ostrą opozycję swoich szefów przeciwko reżimowi faszystowskiemu oraz ich zdecydowanie wrogi stosunek do udziału Włoch po stronie Niemiec w obecnej wojnie. Partia ta ma nadzieję zyskiwać coraz większe wpływy, w miarę jak jej hasła liberalne znajdą dzięki pomocy Anglosasów potwierdzenie we włoskiej rzeczywistości gospodarczej. Na Sycylii istotnie dadzą się już stwierdzić objawy takiego rozwoju stosunków.

Jeżeli pominąć bardzo słabą liczebnie „Partia La Democrazia del Lavoro" — działającą w Campagnii i oscylującą między liberalizmem a socjalizmem — pozostaje nam omówić dwie partie lewicowe: socjalistyczną i komunistyczną. Socjaliści działają dopiero od grudnia 1943 i nie mają jeszcze doświadczonych agitatorów. Ocenia się ich obecnie na 5%, liczą oni jednak na silny dopływ zwolenników po oswobodzeniu przemysłowych Włoch płn. Lecz już teraz zmuszeni są walczyć z silną konkurencją komunistyczną, która zapewne nawet po wyzwoleniu reszty Włoch nie osłabnie. Socjaliści wydają tygodnik „Avanti" ukazujący się nieregularnie. Komunistów obliczano w listopadzie na 10—15%, ale wizyta Wyszyńskiego we Włoszech — w grudniu ub. r. — silnie zdynamizowała agitację komunistyczną i stanowiła przełom w taktyce partyjnej. Partia komunistyczna posługuje się przeważnie małymi naganiaczami, którzy tę samą funkcję spełniali już na usługach faszyzmu. Komuniści otrzymali sukurs ze strony wypuszczonych z więzień ludzi o przekonaniach lewicowych, którzy dopiero ostatnio skomunizowali się. Wpływ komunistów na masy jest wielki, ale ich znajomość stosunków w Rosji wydaje się być bardzo słaba. Partia wydaje dwa tygodniki: „Civilta Proletaria" i „L'Unita". Inne partie nie oceniają stałego wzrostu wpływów komunistycznych jako zjawisko groźne tłumacząc go nędzą i trudnym położeniem gospodarczym. Wraz ze zmianą warunków życia wpływy te — ich zdaniem — znaleją.

Rolę przyszłego języczka u wagi w życiu parlamentarnym Włoch mogłaby odegrać ostatnia z partii włoskich, chrześcijańsko-demokratyczna, silnie klerykalna i umiarkowanie opozycyjna. Ocenia się ją na 10—15%. W swoich trzech tygodnikach — „Il Risveglio", na wysokim poziomie — i „Giustizia Sociale" i „Ordine" — wydawanym dla mas chłopsko-robotniczych, partia chrześcijańsko-demokratyczna dąży do uzgodnienia życia politycznego i gospodarczego z nakazami Kościoła katolickiego. Partia traci ostatnio zwolenników na rzecz „L'Unione", „D'Azione" i komunistów. Autorytet jej traci na fakcie, że Ojciec św. nie rozporządza ostatnio swobodą ruchów.

Prowizoryczną reprezentacją partii opozycyjnych jest kongres neapolitański, który obraduje obecnie w Bari. Delegaci na kongres nie wyszli z wyborów, które się nie odbyły, ale zostali dobrani na podstawie porozumienia międzypartyjnego. Udział poszczególnych partii w kongresie ilustruje następująca tabelka:

Prowincja:	d'Azione	Komuniści	Crz.-dem.	Sforza Croce	Socjaliści	Lavoro	Razem
Sycylia	3	3	1	3	—	—	10
Calabria (Prov. Reggio, Cosenza)	1	1	—	—	—	—	2
Lucania (Prov. Matera, Potenza)	1	1	—	—	—	—	2
Campagnia (Prov. Neapol, Benevento, Avelino)	3	3	2	2	2	2	14
Puglia (Prov. Bari, Taranto, Brindisi, Foggia)	3	2	2	2	1	—	10
Reprezentanci prowincji nie oswobodzonych	3	3	2	2	2	—	12
Razem:	14	13	7	9	5	2	50

Ponadto obecni są na kongresie przedstawiciele związków kombatantów pierwszej wojny światowej. Rząd nie jest reprezentowany.

Kongres, który na skutek protestu amerykańskich władz wojskowych nie mógł odbyć się w Neapolu, lecz wreszcie doszedł do skutku w Bari, miał na celu wzmożenie kursu anty-faszystowskiego i wymuszenie abdykacji króla Wiktora Emanuela. Jak się zdaje, w pierwszej sprawie opozycja może zanotować pewien sukces, druga sprawa natomiast pozostała nie załatwiona, gdyż — jak wiadomo — kwestia abdykacji ma być zadecydowana dopiero po zajęciu Rzymu przez wojska sprzymierzonych. O trudnej sytuacji rządu mimo wszystko świadczy fakt, że czuł się on zmuszony podwyższyć racje chleba, co zostało przeprowadzone przy pomocy aliantów.

Obraz stosunków politycznych w wyzwolonej części Włoch pozwala na wyrażenie przypuszczenia, że obecny układ partyjny czyni nieprawdopodobnym powstanie jakiejkolwiek określonej większości, zdolnej utworzyć nowy rząd. Lecz stosunki te bynajmniej nie są jeszcze ostatecznie skrystalizowane, a wyzwalanie dalszych części Włoch niewątpliwie jeszcze je zmieni. Tak, jak sprawy obecnie stoją, należy liczyć się ze znacznym wzrostem wpływów przede wszystkim trzech partii: monarchistycznej „L'Unione", demokratyczno-liberalnej partii hr. Sforzy i Benedetta Croce oraz komunistów.

Taktyka monarchistów wydaje się zawierać pewien błąd: popierają oni zdecydowanie króla Wiktora Emanuela, który wszakże nie jest popularny, natomiast nie eksploatują dostatecznie rosnącej popularności Umberta, znanego jako wroga Mussoliniego i ostatnio prawie bez przerwy przebywającego z wojskami na froncie. Kiedy zapytałem o to jednego z członków „L'Unione", odpowiedział mi: „Quieta non movere" — nie poruszać rzeczy ustalonych. Gdyby zaczęło się burzyć ustalony porządek prawny, nie wiadomo, do czego by się doszło w tym stanie podrewolucyjnym, w jakim znajdują się obecnie Włochy. Takiej samej odpowiedzi udzieliły władze alianckie, gdy w trzecim dniu obrad w Bari zgodziły się na podwyższenie racji chleba ze 100 do 200 g dziennie.

Partia Sforza-Croce wychodzi z założenia, że władza będzie należała do tych, którzy zadowalająco rozwiążą kwestię bezrobocia, tj. właściwie problem zatrudnienia. Liczą przy tym na pomoc mocarstw anglosaskich. Charakterystyczny jest fakt, że przed wojskami sprzymierzonych uciekło z Włoch południowych wraz z faszystami wielu baronów rolnych.

Komuniści zamierzają dążyć do uzyskania całkowitej większości, by silniej zainteresować Włochami Rosję Sowiecką i móc domagać się włączenia Włoch do „wielkiej rodziny radzieckich republik" na zasadzie wolnych wyborów demokratycznych.

Lecz poza całą agitacją partyjną daje się w społeczeństwie włoskim odczuwać silna potrzeba *nowej idei*, która uchroniłaby kraj od anarchii i od bezwładnego staczania się ku komunizmowi i silniej złączyła Włochy z wolnymi narodami Europy. Kto będzie umiał taką ideę rzucić, stworzy sobie we Włoszech bardzo silną pozycję.

Już się ukazała

Konstytucja Rzeczypospolitej

ze wstępem

Ryszarda Piestrzyńskiego

Do nabycia w cenie 50 mls. w Oddziale Propagandy i Kultury, u oficerów propagandy i ośw., w oddziałach Polskiej Y.M.C.A. itd.

Dr JERZY WENDEL

TAJEMNICA ZWYC

„Rosja jest najsilniejsza, gdy wydaje się słaba i najsłabsza, gdy wydaje się silna". (J. Piłsudski).

Ewolucja wydarzeń na froncie wschodnim dla wielu osób stanowi nie wysychające źródło zadziwień. Bo też doprawdy nie byle jakie widowisko rozgrywa się przed naszymi oczami.

Z jednej strony kraj, który odsłonił przed światem nieznaną w dziejach siłę militarną, który w kilkutygodniowych rozprawach miażdżył najsilniejsze państwa. Kraj, najbardziej totalnie do wojny przygotowany, oparty o najpotężniejszy w Europie potencjał przemysłowy; kraj, który na skutek przeszłych sukcesów zdołał poddać pod swe panowanie całą nieledwie Europę, wprząc w tryby swej machiny wojennej wszystkie jej ludzkie i nieludzkie zasoby.

A z drugiej strony kraj biedny i zacofany, gospodarczo odpowiadający dawno minionym etapom rozwoju społecznego; z pstrą mozaiką narodowości, jeżeli czym ze sobą zespolonych, to niechęcią do panującego reżimu; kraj z utraconymi jeśli nie geograficznie, to gospodarczo najludniejszymi i najlepiej zagospodarowanymi obszarami.

Wczorajszy paradoks dzisiejszą rzeczywistością

I oto w śmiertelnych zapasach między tak niewspółmiernymi stronami ten drugi kraj bierze górę. Mimo bezprzykładnego upustu krwi rozwija nie słabnącą moc ofensywną i wydziera z rąk nieprzyjaciela coraz nowe tereny. W miare przedłużania się wojny siły jego zdają się nie maleć, lecz rosnąć. I tak jest pewien swej potęgi, że raz po raz rzuca światu prowokacyjne wezwania nic sobie nie robiąc z możliwych na nie reakcji.

Gdyby lat temu pięć powiedział ktoś, że Sowiety są militarnie silniejsze niż Niemcy, wzmocnione jeszcze demograficznie i gospodarczo o zasoby bez mała całej Europy — to takie twierdzenie słusznie poczytanoby za drwiny ze zdrowego rozsądku. Miałże by na naszych oczach tak niepojęty paradoks stać się rzeczywistością? Zaiste, jest czemu się dziwić, nawet w naszej epoce realizowania się najdziwniejszych rzeczy. Toteż ludzie spoglądają na wydarzenia rozgrywające się na wschodzie nie dowierzając własnym oczom, jak na jakiś niewczesny żart historii.

Pamiętam w „łagrze" jedną rozmowę z więźniami na temat perspektyw wojennych Sowietów. Brali w niej udział ludzie, którzy istotnie mieli coś o tym do powiedzenia: wojskowi, inżynierowie, ważne figury z przemysłu wojennego, niedawni dygnitarze NKWD i partii bolszewickiej. Było to bezpośrednio po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, więc pole do domysłów i przepowiedni było zupełnie otwarte. Pesymiści — może należałoby ze względu na panujące wówczas nastroje powiedzieć: *optymiści* — twierdzili, że wojna skończy się w ciągu dwóch miesięcy całkowitą katastrofą Rosji. Optymiści — może należało by powiedzieć *pesymiści* — przedłużali okres możliwego oporu sowieckiego do sześciu miesięcy. Ale nie więcej. I przepowiednie swe wygłaszali bez wielkiej siły przekonania. A byli to, powtarzam, ludzie rozporządzający pewnymi elementami właściwej oceny, a nie operujący samą „wiatrologią" tylko. I tak się szpetnie wszyscy pomylili.

Stały się rzeczy, o których nie śniło się filozofom ani rosyjskim, ani zagranicznym. Prawda, spotyka się dziś wielu ludzi zapewniających uroczyście, że dla nich wydarzenia na wschodzie nie są żadną niespodzianką, że oni taki właśnie przebieg wypadków przewidywali. Taka to już jest właściwość ludzi, że dokładnie przewidują... wstecz.

Hitler, w każdym razie — stwierdzamy ten fakt bez przykrości — nie może się poszczycić pod tym względem darem przewidywania. Zapewne, wojna z Rosją była dlań w pewnym sensie koniecznością. Ale chyba można powiedzieć z pewnością, że nie byłby się na nią zdecydował, gdyby był mógł przewidzieć jej przebieg.

Jednakże nie przewidział. Zresztą Niemcy przyznają się dziś otwarcie, że nie wiedzieli, co wyobraża Rosja pod względem militarnym. W rozpaczliwym w swej beznadziejności artykule „Voelkischer Beobachter" (z 17 stycznia 1943 r.) rzecznik niemieckiego gen. sztabu major von Soltan bez obsłonek pisał, że „zaszedł fakt *potwornego* nie docenienia sił Rosji".

Obraz odbity w zmąconych wodach

Jest właściwością państw totalnych, że dekonspirują się dopiero podczas wojny. W totalnej Rosji właściwość ta wystąpiła w pomnożeniu o tradycyjną tajemniczość „kraju nieograniczonych możliwości". W sumie sprawiło to, że świat nie miał zielonego pojęcia, co to jest Rosja Sowiecka. Bo cóż właściwie mogło dać należyte o niej wyobrażenie?

Czy wywiad zagraniczny w kraju, gdzie samo wejście do gmachu obcego przedstawicielstwa jest równoznaczne z wyjazdem tam, skąd się już przeważnie nie wraca? Czy tzw. „obserwatorzy" cudzoziemscy, łatami zaśmiecający księgarnie europejskie swymi „prawdami o Rosji sowieckiej"? Czy może dziennikarze zagraniczni? Mój Boże, toż to nawet dziś korespondenci krajów „sojuszniczych" czerpią swe wiadomości z głośników oficjalnego radia, a w lepszym razie ze... Sztokholmu.

Wobec braku ścisłych danych, opinia o Rosji musiała się urabiać w oparciu o kryteria raczej wątpliwe. Kształtowały ją tradycyjne pojęcia o „kolosie na glinianych nogach", zwodnicze nauki historii i jeszcze bardziej zwodnicze doświadczenia bliskiej przeszłości, jak pierwsza kampania fińska.

Reszty dopełniał obraz znany każdemu, kto bodaj przelotnie miał sposobność przyjrzeć się rzeczywistości rosyjskiej. Któż nie ma go w pamięci! Kilometrowe kolejki przed sklepami. Piekarnie bez chleba, apteki bez lekarstw, księgarnie bez książek. W tramwaju nie ma gdzie stać, w restauracji nie ma gdzie siedzieć, w hotelu nie ma gdzie spać. Kraj pogrążony w nędzy, życie źle zorganizowane, ludzie śmiertelnie obrażeni na reżim. Jak mówił André Gide; wszystkiego mało — oprócz poczucia strasznej krzywdy ludzi.

„Jeśli zawtra wajna"

I wśród melancholijnego pejzażu sowieckiego, wśród tej żałosnej improwizacji życia, wśród tych ludzi obszarpanych i wystraszonych, raz po raz wpadają słowa piosenki: „Jesli zawtra wajna, jesli zawtra pachod... nasz radnoj Stalin... k' pabiedie nas żeliezno rukoj pawiediot"... Myśl uparta, jak melodia tej piosenki, wświdrowuje się w mózg:

Nie, oni was nie „powiedut k'pabiedie". Nie będą zdolni do działania tak celowego, świadomego i metodycznego, by skutecznie się przeciwstawić potwornej, jak Moloch i precyzyjnej, jak zegar niemieckiej machinie wojennej. Nie będzie ich stać na integralny wysiłek organizacyjny, na nieomylna koordynację wszystkich zasobów materialnych i niematerialnych, na bezbłędną synchronizację wszystkich poczynań. Nie zdobędą się na tę egzaltację dokładności, na ten paroksyzm precyzji, jakiego wymaga ta najbardziej naukowa, najbardziej zindustrializowana ze wszystkich wojen. I z tych zbiedzonych ludzi nie wykrzesza takich zasobów entuzjazmu, które by skompensowały przewagę techniczną i organizacyjną tamtej strony. Stanowczo, wojny z takim nieprzyjacielem Rosjanie zwycięsko przeprowadzić nie zdołają...

Jasnowidz wśród ślepców

Tak rozumowali ci, co znali Rosję z widzenia. Tak rozumowali ci, co ją znali ze słyszenia. I tak zapewne rozumował Hitler.

W tym rozumowaniu wyraziła się wiekuista słabość umysłu ludzkiego. Nie umiemy wyciągać właściwych wniosków. Nie umiemy trafnie przewidywać. Umysł ludzki jest beznadziejnie skuty wiezami analogii i minionych doświadczeń. Myśli o przyszłości w kategoriach przeszłości.

Czy zdąży jeszcze nad Berlin?

Mimo wiekowych ostrzeżeń bierze zawsze pozory za rzeczywistość, a zewnętrzną łuskę za istotę rzeczy.

„Rosja jest najsilniejsza wtedy, gdy wydaje się słaba i jest słaba, gdy wydaje się silna" — mówił Piłsudski. Ileż genialnej przenikliwości kryje się w tym pozornie prostym wyrzeczeniu! Kiedy je formułowano, mogło się wydawać mało znaczącym paradoksem. Dziś wiemy, że zawiera się w nim właściwie *cała* prawda o Rosji.

Piłsudski nie znał żadnych faktów o Rosji współczesnej, a wiedział o niej wszystko. My mieliśmy faktów co nie miara, a nie wiedzieliśmy o niej nic. I dziś dopiero uświadamiamy sobie, że to wszystko jest jasne, oślepiająco jasne, że właściwie mieliśmy wszystkie elementy dla należytej oceny sytuacji rosyjskiej i rosyjskich perspektyw.

Bo właśnie to, co sugerowało mniemanie o *słabości* Rosji, powinno było uświadomić jej *siłę*.

Pytania, które się nie nasunęły i odpowiedzi, które się nie narzuciły

Spójrzmy na Rosję przedwojenną! Co zobaczymy? Bez mała dwieście milionów ludzi, wprzężonych w katorżny trud. Totalna mobilizacja kobiet — na długo przed wojną. Totalna mobilizacja starców. Prawie totalna mobilizacja dzieci. Ludzie przywiązani łańcuchami do warsztatów pracy. Pracuje się po dziesięć, dwanaście, trzynaście godzin na dobę. Monstrualne normy wyżyłowują z pracownika taką wydajność, o jakiej się Taylorowi nie śniło. Kto nie pracuje, ten nie tylko nie je; ten idzie do łagru. A tam już pracuje katorżnie, męczeńsko.

To jedna strona sowieckiego medalu. A teraz jego strona druga. Ludzie chodzą obdarci i głodni, mieszkają jak troglodyci. Za katorżna pracę dostają wynagrodzenie, które utrzymuje ich egzystencję na poziomie niepodetym dla przeciętnego Europejczyka. Potrzeby ludzkie nie są zaspokajane nawet w granicach tych nikłych możliwości konsumcyjnych, jakie wyznacza nominalna siła nabywcza społeczeństwa. Nie ma w Rosji za co kupić, nie ma co kupić i nie ma gdzie kupić.

Więc konfrontując to zjawisko skrajnego ubóstwa, współistniejącego z bezmiarem pracy, powino się było postawić pytanie:

Gdzie się podziała ta praca? Gdzie są jej rezultaty? Czym zaznaczą swe istnienie przemysł rosyjski? Dlaczego po 15 latach nadludzkich trudów obywatele sowieccy nie wyszli poza sferę prymitywnego bytowania? Dlaczego w tylu krajach o tyle mniej hojnie niż Rosja wyposażonych przez naturę, w krajach obarczonych olbrzymim bezrobociem, tzn. milionami nieproduktywnych ludzi — osiągnięto *powszechny* standard życia, który dla Rosji byłby ideałem niedosiężnym? A więc jeszcze raz: na co poszedł ten bezmiar pracy rosyjskiej?

Odpowiedź powinna się była narzucić sama. Ależ oczywiście: na zbrojenia, na przygotowanie wojny, na potencjał ekonomiczno-militarny.

Ale nikomu się ta odpowiedź nie narzuciła, a jeżeli się nawet narzuciła, to nikt z niej nie umiał wysnuć właściwych konsekwencji.

Bogactwo sugeruje myśl o sile, nędza sugeruje myśl o słabości. Jakież to naiwne, jakie fałszywe wnioskowanie!

Niemcy, którzy wiedzieli część prawdy, nie wiedzieli całej prawdy. Wiedzieli, że armaty otrzymuje się kosztem masła, nie wiedzieli, że za cenę wyrzeczenia się najelementarniejszych potrzeb można zbudować olbrzymią potęgę militarną. Rzeczy jasne i zrozumiałe w odniesieniu do samych siebie, stawały się niepewne i zawiłe w zastosowaniu do sąsiada. Bo przecież i to, co było jednym z najważniejszych źródeł ich własnej zlowrogiej siły, ów totalny system dyktatury jednej partii wraz z całą ponurą historią męczeństwa ludzkiego, jaka się z nim wiąże — to przecież istniało również w Rosji, to przecież z Rosji zostało przejęte, więc powinno było nasunąć myśl o sile przeciwnika. Nie nasunęło.

Pacyfizm imperialistów i imperializm pacyfistów

Bolszewicy lepiej widzieli rzeczywistość. Z trzeźwym cynizmem oceniali perspektywy polityczne przyszłości. Sceptycznie traktowali możliwości trwałego pokoju w świecie, któremu dyktatura proletariatu nie narzuciła jeszcze bezklasowej struktury społecznej. Rosja *wiedziała*, że będzie wojna i — odmiennie niż „imperialistyczne" mocarstwa zachodnie, które nieszczęsnymi pociągnięciami próbowały powstrzymać nadciągającą burzę — nie starała się jej zapobiec. Owszem, pierwsza rzuciła zapalony lont na europejski skład prochu podpisując układ Ribbentrop-Mołotow. Bo „pacyfistyczna" Rosja tej wojny chciała, a chciała dlatego, że upatrywała w niej możliwość urzeczywistnienia swych snów o potędze i wiedziała, że ma potrzebne do tego środki.

„Największy bluff w dziejach"

Krzywdę się bolszewikom robi, kiedy się ich egzaminuje z socjalizmu. Fałszywą miarą się ich sądzi, gdy ocenia się ich osiągnięcia miarą zbliżenia do idealnego ustroju przyszłości. Bolszewicy budowali nie socjalizm. Budowali siłę militarną, to tradycyjne narzędzie imperializmu rosyjskiego. Okłamywali naród, kiedy mówili, że dla zbudowania socjalizmu niezbędna im jest siła militarna. W istocie było odwrotnie. Dla zbudowania potęgi militarnej potrzebny im był socjalizm, czy raczej to, co oni socjalizmem nazywają. I jeżeli można znaleźć właściwe zastosowanie dla słów Goeringa o „największym bluffie w historii", to odnieść je należy — z nieskończenie większą słusznością, niż do wojny fińskiej — właśnie do tego kamuflażu celów i dążeń bolszewizmu rosyjskiego.

Bystry obserwator rzeczy rosyjskich Ryszard Wraga dawno już twierdził, że „konglomerat marksowsko-rosyjski daje niebywałą siłę". I miał słuszność.

System totalny, gospodarka państwowa, całkowite wyeliminowanie inicjatywy prywatnej w zakresie produkcji dóbr, ich rozdziału i spożycia, centralizacja dyspozycji gospodarczych i ogólnie mówiąc podporządkowanie całości życia planowi, którym może być zamysł imperialistyczny — wszystko to stwarza ramy, w których dają się idealnie urzeczywistniać cele wojenne. Elementy takiej organizacji wprowadzają wszystkie państwa — i nazywają to gospodarką wojenną. W tej wojnie się okazało, że należycie do niej przygotować się mogły jedynie te państwa, które gospodarkę wojenną wprowadziły u siebie w czasie pokoju. Bo też istotnie: w stosunku do form gospodarki pokojowej przygotowującej kraj do wojny, system taki dla jego sprawności i celowości można by porównać do nowoczesnego pojazdu mechanicznego stającego do zawodów z poczciwym dyliżansem, poruszanym siłą rozstawnych koni.

W Rosji korzyści wynikające z zastosowania doktryny marksowskiej w dziedzinie materialnej i praktycznej sprzęgły się z korzyściami w sferze oddziaływania na psychikę obywateli. Bowiem sama doktryna okazała się znakomitym narzędziem ideologicznym wytkniętych celów. Wprzęgnięta w służbę imperializmu wszechrosyjskiego, dała mu pomieszczenie nierównie wygodniejsze, niż je mógł znaleźć w swych dawnych siedliskach ideologicznych, jak prawosławie czy panslawizm.

Za czasów Lenina było jednak inaczej. Wówczas mimo wszystko budowano socjalizm. Budowano go z elementów materialnych i moralnych, jakimi rozporządzano, a więc na modłę bizantyjską. Ale wówczas natchnieniem był jednak Karol Marx, a nie Piotr Wielki. Czerezwyczajka mimo wszystko była narzędziem socjalizmu, ale już GPU, a tym bardziej NKWD — były już tylko istrumentem imperializmu wszechrosyjskiego.

Kto kieruje po

W wydawanym przez Kennetha de Courcy biuletynie „Review of World Affairs" ukazał się artykuł p. t. „Behind the Scenes in Russia" („Za kulisami w Rosji"), oparty, jak wynika ze zdań wstępnych, na spostrzeżeniach obserwatorów amerykańskich.

Autor stwierdza, że poza widocznym z zewnątrz wzrostem wpływów czerwonej armii, daje się zauważyć nowa linia ogólnej polityki Sowietów. Poza tym Stalin w chwili obecnej zgoła nie jest dyktatorem w tym znaczeniu, by zdolny był narzucać swą nieograniczoną wolę rządowi swych zauszników. Przeciwnie — rząd składa się z dwóch głównych grup, które wyznają odmienne poglądy polityczne i całkiem stanowczo z poglądami tymi występują na zewnątrz.

Podział ten zarysował się wyraźnie mniej więcej pół roku temu. W skład pierwszej, silniejszej grupy wchodzą Żdanow, Beria, Stomoniakow, Wyszyński i Dekanosow. Reprezentują oni tzw. „nową szkołę myśli w zakresie polityki europejskiej". Druga, znacznie słabsza grupa ma na czele Kaganowicza i stoi na dawniejszym stanowisku idąc mniej więcej po linii Litwinowa.

Interesujący jest fakt zbliżenia między Berią a Żdanowem. Żdanow jest jednym z najdawniejszych towarzyszy Stalina i być może, jego następcą. Podobnie jak Dekanosow, Żdanow był zdecydowanym zwolennikiem polityki zagranicznej z r. 1939. W tym czasie jednak Beria stał od tego z dala. Beria jest od dawna jedną z najważniejszych podpór Stalina. Kieruje on całą OGPU oraz wszystkimi organizacjami afiliowanymi i pomocniczymi. Jego alians ze Żdanowem daje więc temu drugiemu wielką pozycję i wpływy.

Na początku wojny Żdanow, Dekanosow i kilku ich przyjaciół byli widywani w Moskwie, lecz rzadko. Obecnie należą oni do najwybitniejszych czynników politycznych w stolicy Sowietów. Wyszyński jest najważniejszą osobistością w komisariacie spraw zagranicznych i przez to dodaje jeszcze ogromnego prestiżu tej wewnętrznej grupie rządowej, której władza rozciąga się przeto na armię, OGPU i urząd spraw zagranicznych.

Żdanow i jego przyjaciele są w znacznej mierze sprawcami odwołania Majskiego i Litwinowa. Uważają oni, że bardzie będzie służyło interesom rosyjskim wy

Oto jest brama w murach miejskich i orzeł biały nad nią. Wierne bramy miast polskich rozwarte są w oczekiwaniu na wmarsz odrodzonych pod bronią oddziałów. Orzeł Biały, jak duch, unosi się nad ich przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Mury miast polskich wyznaczają rozdziały naszej historii: Głogów, Dobrzyń, Lwów, Trembowla, Kamieniec Podolski, Zbaraż, Częstochowa, Bar, Warszawa, Kraków. Czerwień ich przypomina o krwi najlepszych obrońców niezwyciężonej przez tysiąc lat polskości, zamkniętej w miastach.

Miasta polskie oznaczają skarby i moce narodowe.

Do odznak oddziałów Armii Polskiej na Wschodzie — do Syreny Polski radosnej, do Lwa i Żubra, gotowych odeprzeć ataki ze wschodu i zachodu, do Jodły karpackiej dochodzi Brama Krakowa. Z niej bronili się Piastowie Niemcom, Czarniecki Szwedom i konfederaci barscy i powstańcy roku 1848, gdy działa cesarskie strzelały na Wawel. Spod tej bramy ruszyła ku Kielcom Kadrówka. Ku niej idą dzieci Krakowa i całej niepodzielnej Polski.

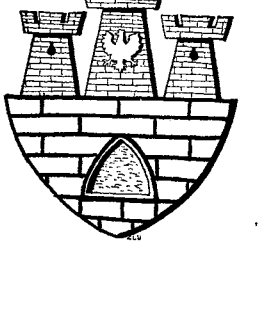

ĘSTW SOWIECKICH

Przez pot, krew i łzy do potęgi militarnej

Od roku mniej więcej 1927 datuje się zdecydowane i otwarte kroczenie po drodze budowy podstaw militarnych wielkomocarstwowości rosyjskiej. I to, co obecnie widzimy — i to, co zapewne jeszcze zobaczymy — to tylko proste następstwo konsekwentnie realizowanych założeń. Powiedział pewien mądry Anglik, że dzień dzisiejszy jest *rezultatem* dnia wczorajszego i *przyczyną* dnia jutrzejszego, a nie tylko ptzyszłością dnia wczorajszego i historią dnia jutrzejszego.

Najbardziej powszechny i wszechstronny wysiłek zbudowania siły, jaki znają dzieje. Najbardziej brutalna „kapitalizacja", jaką zna historia ekonomii. Jeżeli Churchill mówił walczącemu narodowi angielskiemu o pocie, łzach i krwi, jako niezbędnej cenie zwycięstwa w wojnie — to bolszewizm dla samego *przygotowania* wojny, na długo przed jej wybuchem nic innego swemu narodowi nie próbował ofiarować, jak właśnie pot, łzy i krew — i przez dalsze lata tę straszliwą daninę upornie i upiotnie egzekwował.

Egzekwowano ją na wszystkich polach nieograniczenie wielkich możliwości. Ogniem i żelazem wypalano wszelkie oznaki oporu, jakie mogłyby stanąć na przeszkodzie urzeczywistnianiu jakichkolwiek zamysłów agresyjnych czy obronnych. W sposób bezwzględny „likwidowano" osoby, nie należące do narodowości rosyjskiej lub do mniejszości sowieckich. Fakt należenia do *jakiejkolwiek* obcej narodowości — ustalanej w oparciu o kryteria czysto hitlerowskie — w oczach „internacjonalistów" z WKP (b) sam przez się stanowił przestępstwo, za które trzeba pokutować bezterminowym pobytem w poprawczych obozach pracy. Spotyka się w nich niezliczone rzesze obywateli sowieckich, których jedyna zbrodnia było to, że w paszporcie, w rubryce narodowości figurował wyraz „Polak".

W ten sposób pojmowano w Rosji realizację wskazania o walce z „piątą kolumną" na kilkanaście lat przed powstaniem tego pojęcia. Uniemożliwiono jakąkolwiek działalność wywiadu obcego przez nieubłagane tępienie wszystkich, co do których mogłoby powstać podejrzenie, że ewentualnie, w pewnych warunkach mogliby się stać jego narzędziem.

Milionami ludzi zaludniono bezmierne ziemie na wschodzie i na północy, aby zdobyć leżące poza zasięgiem nieprzyjaciela źródła zaopatrzenia wojennego.

Czego Niemcy nie wiedzieli

W ten sposób powstawał gigantyczny przemysł wojenny. Nikt — nie wyłączając Niemców — nie zdawał sobie na prawdę dokładnie sprawy, czym były piatiletki, bo na pewno sprawozdania Gospłana nie odsłaniały nawet części prawdy. Przy całkowitej centralizacji dyspozycji gospodarczych, przy zupełnym zignorowaniu potrzeb lokalnych i w ogóle cywilnych rozkręcały one produkcję wojenną na skalę coraz wyższą. I dokonywało się to poza zasięgiem widzenia „obserwatorów", w odległych połaciach olbrzymiego imperium, na uralskich i zauralskich obszarach przemysłowych.

Trzecia piatiletka, przewidująca pełne wyzyskanie węgla syberyjskiego i tud zauralskich dla wojennej produkcji metalurgicznej, kończyła się w roku 1942. W tym zawiera się częściowe wytłumaczenie faktu, który tak zadziwia świat, że Rosja po utracie ukraińskich złóż tudy żelaznej i kopalń donieckich, po przerwaniu dostaw z Kaukazu na północ, po zdezorganizowaniu całego południowego systemu komunikacyjnego, nie została sparaliżowana gospodarczo; że Czerwona Armia nie straciła możliwości działań zaczepnych w skali tak wielkiej, w jakiej je dziś przeprowadza.

Sztab niemiecki wyobrażeniami swymi jak gdyby nie wychodził poza tradycyjne pojęcia o gospodarce rosyjskiej; pojęcia, wedle których źródła rosyjskich zasobów przemysłowych ograniczone są do Ukrainy, a odcięcie od Morza Czarnego i Bałtyku musiałoby być równoznaczne z uduszeniem się Imperium.

Sztab niemiecki jak gdyby nie wiedział o nowych możliwościach produkcyjnych, stworzonych przez piatiletki; jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z podstawowej koncepcji strategiczno-gospodarczej Sowietów, mianowicie przewidywania ewakuacji przemysłu ze strefy zagrożonej na obszary niedosiężne ani dla armii, ani dla bombowców nieprzyjacielskich. A właśnie na tych obszarach rozwija się obecnie produkcja sowiecka; rozwija w warunkach, o jakich nękane z powietrza Niemcy nie mogą nawet marzyć. Stwarza ona dla armii sowieckiej materialne przesłanki dla nieprzerwanych działań ofensywnych. Reszty dokonują alianci swymi dostawami — bardzo znacznymi.

Rosjanie jako prekursorzy

Rozwiązanie zagadnienia ekonomicznego — to tylko jedna strona problematyki wojennej Sowietów. Niemniej ważna jest jej strona militarno-strategiczna.

Na długo przed wojną Rosjanie opracowali dokładne plany walki, oparte na koncepcji wyzyskania wszystkich elementów strategicznych będących w ich rozporządzeniu, a więc materiału ludzkiego, przestrzeni i klimatu.

Materiał ludzki — tradycyjnie dobry — przez niewiarygodnie głęboką mobilizację uzyskał aspekt ilościowy niewspółmiernie wielki nawet w stosunku do tak szerokiej podstawy demograficznej. Skala *przestrzeni* rosyjskiej jest tak ogromna, że nawet najbardziej nowoczesna i ruchoma armia nie rozporządza środkami do jej opanowania. *Klimat*, od czasów napoleońskich uznany za podstawowy element planowania wojennego, zrodził koncepcje walk w zimie, co w praktycznej realizacji pociągnęło za sobą organizowanie ogromnych magazynów w różnych punktach kraju ze względu na trudności masowego transportu o tej porze roku. I wojna fińska była dla Rosjan doświadczeniem niezmiernie cennym, bo potwierdziła znaczenie zimy jako elementu strategicznego, elementu, który Rosjanie potem tak skutecznie wyzyskali.

Najtęższe mózgi sztabu rosyjskiego, m.in. Szaposznikow i Walcew z armii carskiej, latami wypracowywali koncepcje militarne, które Niemcy z właściwą im pedanterią zastosowali u siebie, zawdzięczając im częściowo sukcesy pierwszej fazy wojny obecnej. Do Rosjan należy m.in. koncepcja desantów powietrznych.

Śladami Clausewitza

Oni również drobiazgowo rozpracowali koncepcje wojny ofensywnej. Entuzjasta Clausewitza, Lenin wkładał w mózgi swych uczniów idee teoretyka niemieckie-

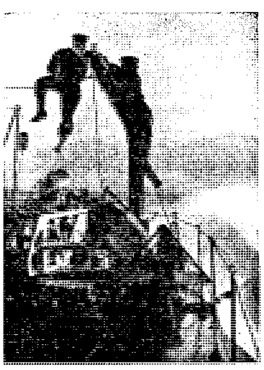

Przed rejsem.

go wyprowadzając je nawet poza sferę zagadnień czysto militarnych, kładąc je u podstawy całej taktyki rewolucji.

W więzieniu sowieckim otrzymywałem jako lekturę dozwoloną dla więźniów książki o sztuce wojennej. Książki nieodniennie propagujące ideę ataku, jako formy strategicznie najwyższej i ideę obrony, jako środka zyskania na czasie, przegrupowania, uzupełnienia i przygotowania do nowej fali ataków. Te idee, sprzężone z nowymi poglądami na motoryzację, leżały u podstawy urzędowej sowieckiej doktryny wojennej. A że nie pozostały w sferze samej tylko teorii, o tym świadczy taktyka sowiecka w tej wojnie: owe niewiarygodnie długie okresy ofensywy i szczególne formy defensywy: niszczenie armii nieprzyjacielskich przez uporczywe, wielomiesięczne operacje w obronie miast otoczonych.

W ogóle sztab rosyjski zdał egzamin w tej wojnie. Odmładzano go stale w słusznym uznaniu niebezpieczeństwa czynienia dowódcami ludzi w wieku późnym, gdy rozwija się skłonność do rutynizmu, gdy wzmaga się konserwatyzm, gdy słabnie ryzykanctwo i nowatorstwo młodości. Dowódcy sowieccy nie byli zaślepieni powagą minionych doświadczeń ale nauki z nich wysnute starali się połączyć z dokładnym rozeznaniem współczesności. Rosjanie niewątpliwie dużo nauczyli się w tej wojnie: wojny polsko-niemiecka i francusko-niemiecka były dla nich doświadczeniem bezcennym. Pozwoliły skorygować wiele błędów wynikających z tak niebezpiecznej tendencji do konstruowania wizji przyszłości wedle schematów przeszłości; tej tendencji, która tak walnie przyczyniła się do katastrofy militarnej Francji.

Przezwyciężona faza rewolucji

Radykalne poglądy na sztukę wojenną są jedynym radykalizmem dopuszczalnym dziś w armii sowieckiej. Wszelkie inne znamiona rewolucyjności zostały z niej dokładnie wyeliminowane. Bez żalu przekreślono wszystkie tzw. „zdobycze socjalizmu" zarówno w zewnętrznej dziedzinie umundurowania, terminologii, odznaczeń, jak i w sferze ducha panującego w armii. Nazywa się to dziś w Rosji „przezwyciężona faza rewolucji".

[illegible]

przed wojną instrumentem propagandy nacjonalistycznej tylko, póki nie zrozumiano, że te funkcje lepiej wypełnią oficerowie — i sami komisarze przywdziali mundury oficerskie, pyszne, błyszczące, ozdobione tak niemiłosiernie niegdyś wydrwiwanymi „pagonami". Te „pagony", ci ordynansi, te zakazy noszenia pakunków, ta cała powrotna hierarchizacja, te wszystkie wsteczne reformy, które tak bardzo zadziwiają świat, dobrze odpowiadają obecnej „fazie" rewolucji rosyjskiej. Zmierzają one do uczynienia stanu oficerskiego najzaszczytniejszym, aby nadzieja uzyskania stopnia była bodźcem do poświęceń i wzorowego sprawowania.

Amria coraz bardziej wrasta w tradycję, coraz bardziej staje się wyrazem pragnień, dążeń i aspiracyj „wiecznej Rosji", coraz bardziej instrumentem dążeń nacjonalistycznych.

I duch, który tę armię ożywia, jest również duchem nacjonalistycznym. Błędem byłoby sądzić, że jest to jakaś improwizacja wojenna; coś zrodzonego przez potrzeby chwili dla potrzeb chwili. Nie, to jeden z oręży świadomie wykuwanych na długo przed wojną, to wyraz nowego rosyjskiego imperializmu, to integralna część rynsztunku moralnego współczesnego Rosjanina.

ogromca rewolucji na piedestale

Na długo przed wojną rozdęto gigantyczną propagandę nacjonalistyczną. Bohaterzy wojen imperialistycznych zepchnęli z piedestałów bohaterów rewolucji. Prasa, książka, film, teatr — wszystkie organy przemożnego aparatu propagandy sowieckiej — nastawiły się na apoteozowanie Aleksandra Newskiego Piotra Wielkiego, Kutuzowa i Suworowa. Nic to, że Suworow walczył z rewolucją francuską, nic, że Kutuzow tłumił powstania chłopskie. Te rzeczy są dziś tak nieistotne, że władze nie zadają sobie nawet trudu wycofywania z obiegu tomów urzędowej encyklopedii, w których jest o tym mowa.

„Niech nasi waleczni przodkowie będą dla nas natchnieniem w tej wojnie" — mówił Stalin. I ten rozkaz wodza został wypełniony. Wypełniony tak sumiennie, że w idolatrii przeszłości podjęto apologię... Kuropatkina, udowadniając po Pearl Harbour, że ówczesna taktyka japońska była niemal identyczna, więc identyczne musiały być rezultaty. Ba, zabrano się nawet do wybielania wodzów ostatniej wojny i „Prawda" pisała niedawno z triumfem, że Rosja (mikołajewska) była jedynym z państw ówcześnie sojuszniczych, które zdołało wtargnąć na terytorium niemieckie.

Suworow znów bije Niemców

Na ten sam ton nastrojona jest literatura i sztuka. W muzyce Szostakowicz opiewa tylko zwycięstwo sowieckie pod Staligradem, ale już Dzierżyński apoteozuje dźwiękami epopeę Suworowa, a „Żizń za caria" jest znów najpopularniejsza operą rosyjską.

„Malarstwo historyczne" zmieniło tematykę. Stalin występuje nadal jako główny jego motyw, ale w zupełnie odmiennym niż dawniej stroju i w odmiennym towarzystwie.

Praca wydała owoce. Olbrzymia masa narodu zareagowała na impulsy idące z góry. Wypełniła patriotyczną treścią wojenną mechaniczny dotąd tylko, choć niebywale sprawny i doskonale na wszelkie próby przygotowany wojenny system sowiecki.

Bitność żołnierza rosyjskiego jest rzeczą bezsporną, choć podkreśla się ją za bardzo i przez to sugeruje fałszywą ideę, że to jest wyłącznym źródłem powodzeń rosyjskich, gdy w istocie jest to tylko jeden z elementów całości zgranej do ostatniego wysiłku.

I kiedy się uważnym okiem przebiega bezmiar tego wysiłku, kiedy się rozpamiętuje bezprzykładne ofiary, do jakich pociągnięto 180 milionowy naród na przestrzeni 15-letniej jego egzystencji, czy raczej wegetacji — to ogarnia nas inne zadziwienie: jak można się dziwić, że tak jest jak jest i jak można się nie dziwić, że nie jest więcej, niż jest. Wróćmy jednak do motto niniejszego artykułu: „*Rosja jest najsilniejsza, gdy* [illegible] *słaba i najsłabsza, gdy wydaj*[illegible]

yką sowiecką?

stanowiska zwykłych funkcjonariuszy. Są zdania, że na przyszłość nie jest pożądane mieć na placówkach ambasadorów w Londynie i Waszyngtonie, ludzi o tak wygórowanym prestiżu, jakim Majski i Litwinow cieszyli się w wielu kołach.

Grupa Żdanowa jest zdania, że bardziej odpowiedni są urzędnicy mniej wybitni i bardziej trzymający się na osobności.

Interesujący jest Stalin. Po pewnym czasie przychylił się on do poglądów Żdanowa w sprawie zastąpienia Litwinowa i Majskiego innymi ludźmi.

„Żdanow — pisze dalej autor — jest przede wszystkim rosyjskim nacjonalistą. Występuje on zawsze i wszystkimi sposobami na rzecz tego, co uważa za leżące w interesie jego kraju. Podpis jego znalazł się pod dekretem rozwiązującym Komintern. Jest to człowiek niezwykłej inteligencji i roztropności. Trzeba uświadomić sobie, że zajmuje on w dzisiejszej Rosji stanowisko kluczowe. Ma on wyraźne i jasne poglądy na cele wojny, na sposób jej prowadzenia i na politykę zagraniczną...

„Grupa Żdanowa uważa, że pozycja Rosji [illegible] że można i należy prowadzić bardziej zdecydowaną taktykę w dziedzinie strategii i polityki zagranicznej. Wierzy ona, że cokolwiek się stanie, Związek Sowiecki dzierży atuty, które — jeśli nimi będzie się odpowiedno grało — dadzą korzystne wyniki. Ma ona najjaśniejszą koncepcję tego, co powinno być zrobione w zmieniających się warunkach, które wytworzyć może najbliższa faza wojny.

„Grupa ta jest skrajnie przeciwna wszelkiej polityce płynięcia z prądem (drift) lub kompromisu z Wielką Brytanią i Ameryką, tam gdzie taki kompromis pociągnąłby za sobą poświęcenie tego, co ona uważa za interes rosyjski. W końcu grupa ta jest zdania, że ilokrotnie nie zastosowano się do jej poglądów, tylekroć wypadki dowiodły, że to było klęską. Stąd rosnące zaufanie Żdanowa do samego siebie.

„Nie ulega wątpliwości, że każde zagadnienie, które wyrasta w stosunkach między Rosją a Wielką Brytanią i Ameryką, pomnaża siłę i autorytet tej grupy i wzmacnia możliwość przyjęcia jej polityki. Jej wpływ prawdopodobnie już obecnie jest niemal dominujący. Wszystko to stanowi jeden z najważniejszych procesów w historii nowożytnej"

Testament mądreg[illegible] Ukraińca

Jeden z tygodników londyńskich poświęca wspomnienie pośmiertne zmarłemu w saratowskim więzieniu Włodzimierzowi Celewiczowi, wiceprezesowi UNDA, niegdyś prezesowi partii, b. redaktorowi największego organu ukraińskiego w Polsce „Diło", posłowi na Sejm Rzeczypospolitej. Z artykułu tego cytujemy najciekawsze ustępy:

„Celewicz rozumiał dobrze, że utworzenie państwa ukraińskiego tylko na ziemiach polskich jest niemożliwością. Ukraina taka miałaby wrogów w obu sąsiadujących z nią państwach, Polsce i Rosji. Rosja w obawie utraty Ukrainy dążyłaby do likwidacji tego państwa, Polska zaś starałaby się te ziemie również odzyskać dla siebie".

Toteż Celewicz był zwolennikiem Wielkiej Ukrainy. Sądził, że momentem odpowiednim do stworzenia jej był okres rewolucji w Rosji. „Gdyby — mówił — w latach 1918-20 galicyjska armia ukraińska — zamiast walczyć z Polską — poszła na Wielką Ukrainę i razem z Petlurą uderzyła na bolszewików, niepodległość Ukrainy stałaby się faktem. Ukraińcy galicyjscy jednak nie myśleli wtedy rozmiarami całej swej wielkiej ojczyzny i — zamiast rzucić swe siły przeciwko najgroźniejszemu przeciwnikowi — zaplątali się niepotrzebnie w wojnę z Polską".

Zapytany, jak sobie wyobraża dobrosąsiedzkie stosunki Ukrainy z Polską, skoro Ukraińcy wciąż zgłaszają pretensje terytorialne do Polski niemal po Kraków i Warszawę, „Celewicz tłumaczył, że gdyby Ukraina powstała w granicach dzisiejszej Sowieckiej Republiki Ukraińskiej, byłaby ona państwem tak silnym, że posiadanie ziem, należących do Polski, nie byłoby dla niej zagadnieniem żywotnym... Współpracę Polski z narodem ukraińskim wyobrażał sobie Celewicz w ten sposób, że Ukraińcy zrezygnują z ziem należą- [illegible] Polski a Polska za to pomoże im zbudować państwo ukraińskie na wschód od Zbrucza. Szedł przy tym Celewicz tak daleko, że uważał za rzecz zupełnie możliwą opuszczenie przez Ukraińców terenów należących do Polski — na drodze wymiany ludności... Ukraina ma tyle ziem wolnych, że emigracja ta nie wywołałaby żadnych trudności, zwłaszcza że proces emigracji Ukraińców z Galicji na Ukrainę szedłby w parze z odpływem Rosjan, których na ziemiach ukraińskich jest sporo, do Rosji".

Koncepcja Celewicza nie miała wielu zwolenników, nawet Polacy nią się nie interesowali. „Polacy — mówił — pod wpływem idei nieinterwencji na Wschodzie i trwałego pokoju z Rosją nie myśleli o jej zrealizowaniu, Ukraińcy zaś byli opanowani ciasnym prowincjonalnym nacjonalizmem i nie chcieli pójść na współpracę z Polską". Niemcom Celewicz nie wierzył. „Uważał on, że popierają oni Ukraińców tylko koniunkturalnie, dla przeciwwagi Polsce. Jego zdaniem, gdyby Niemcy obaliły na trwałe Polskę, starałyby się zniszczyć także Ukrainę. Po zwycięstwie nad Polską — mawiał — Niemcy wcale nie pójdą na budowanie państwa ukraińskiego". Rozwój wydarzeń przyznał słuszność Celewiczowi, który w tych przewidywaniach był wśród Ukraińców dosyć odosobniony.

W więzieniu sowieckim Celewicz mówił, co myślał. „Celewicz nie entuzjazmował się stosunkami w Polsce, przedstawiał je często krytycznie, ale spokojnie, bez napaści i zacietrzewienia. Robiło to wrażenie na Moskalach, którzy spodziewali się usłyszeć z ust Celewicza potępienie Polski. Było — mówił bolszewikom — życie polityczne w Polsce, były spółdzielnie, szkoły, drukowano i wydawano książki, nie było przymusowych wysiedleń. A jakie swobody ma naród ukraiński w Rosji? Życie polityczne — poza partią komunistyczną, która służy celom rosyjskiego imperium — nie istnieje. Życie gospodarcze jest domeną państwa, skutkiem czego w zagłębiu donieckim Rosjanie mają absolutną większość, a na całej Ukrainie wszystkie wy[illegible] stanowiska obsadzone są przez Mosk[illegible] jeśli uczono w szkole po u[illegible] ukraińscy nauczycie[illegible] treść... W Polsce m[illegible] sać i to, co się rzą[illegible] Polsce zakazano [illegible] kilkunastu Ukra[illegible] słyszany w cały[illegible] gdy się wywozi [illegible] Wschód, nikt [illegible] granica dowie [illegible] Ukraińcy w [illegible] by posiadali [illegible] mieli w Pe[illegible]

DRUGI KORPUS W AKCJI

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

W dniu 17 lutego ogłoszono, że „Drugi Korpus Wojsk Polskich pozostający pod dowództwem gen. Andersa wszedł do akcji na froncie włoskim".

Żołnierz polski otwiera nową kartę w historii nie słabnących i nie przerwanych walk o wolność, prowadzonych przez naród od dnia 1 września 1939 roku. Otwiera ją w chwili, kiedy napięcie zmagań wzrasta na wszystkich frontach, kiedy dochodzimy bodaj do szczytowego punktu zderzeń z Niemcami i coraz widoczniejsze stają się zarysy zwycięstwa nad sprawcami wszystkich nieszczęść, które spadły na Europę. Karta ta jednak otwiera się również w chwili, kiedy poważne chmury gromadzą się nad ziemią naszą i nad naszą przyszłością.

Wiedzieliśmy od początku wojny, a ściślej biorąc od dnia 17 września 1939 r., gdy wojska sowieckie wkroczyły w granice Polski, że końcowa faza wojny będzie dla nas bodaj trudniejsza jeszcze od pierwszej. Wiedzieliśmy, że zrodzą się dramatyczne powikłania, które wymagać będą od nas wyjątkowych dowodów charakteru oraz nadludzkich wysiłków mózgów i mięśni, by je opanować i pokonać. Wiedzieliśmy, że powstaną próby odarcia nas z owoców tych wysiłków, które na rzecz wspólnej sprawy sprzymierzonych ponosimy, że raz jeszcze będziemy musieli dać świadectwo naszej woli życia w pełnej wolności i w granicach całego naszego państwa.

WOJNA POLSKA

Chwila taka nadeszła. Odpowiadamy na nią — jak to leży w naszej tradycji — wzmożeniem walki w otwartym polu z najeźdźcą. Nie dla łzawego a zbytecznego usprawiedliwiania się przed kimkolwiek, nie dla wykazania gotowości do ofiar idzie żołnierz polski do akcji — nie poczuwa się on bowiem do żadnych win, a ofiary narodu naszego są bezbrzeżne — ale, by raz jeszcze zaznaczyć wobec świata, że wojna obecna jest przede wszystkim *wojną polską*. Rozpoczęła się ona na ziemi polskiej, podjęta została przez Wielką Brytanię w obronie Polski i zakończona być może tylko sprawiedliwym rozstrzygnięciem wszystkich spraw polskich. Żołnierz nasz odrzuca pogląd, jakoby wojna obecna obchodziła jedynie wielkie giganty świata i dla ich interesów była wyłącznie prowadzona. Naród polski walczy w tej wojnie przede wszystkim o swój los.

Wojna — jest wojną polską — ale zarazem o *wolność Europy*, o zabezpieczenie jej przed wszelkimi gwałtami, przed przemocą i hegemonią. Zanim jeszcze wielkie mocarstwa związały się w tej walce, a gdy Polska sama stała już w niej przez trzy dni września 1939 r., w Warszawie, bo nie gdzie indziej proklamowana została walka za „wolność waszą i naszą", za wolność wszystkich narodów europejskich.

I choć następnie, a zwłaszcza od połowy r. 1941 rozpoczął się proces zaciemniania tego ideowego celu walki, prowadzonej jednocześnie na kontynencie przez Francuzów, Norwegów, Belgów, Holendrów, Greków, Jugosławian, oraz przez wolne ruchy innych narodów, żołnierz polski wstępując dziś do boju podkreśla swą wierność rewolucyjnemu, a nie sfałszowanemu hasłu walki „za wolność waszą i naszą".

Ujarzmione narody niech więc widzą w armii polskiej siłę, która przybywa do Europy nie dla podbojów i zdobyczy, nie dla ujarzmiania narodów pod pozorem ich wyzwalania, nie dla ustanawiania w obcych krajach rządów złożonych ze swoich agentów, nie dla tworzenia stref wpływów, czy stawiania fundamentów nowego imperializmu, ale dla przyczynienia się do odzyskania wolności prawdziwej przez wszystkie narody, które na to zasługują.

II Korpus prowadzić będzie walkę u boku swego brytyjskiego sprzymierzeńca, który pierwszy w r. 1939 wystąpił w naszej obronie. Należymy do wielkiego obozu narodów sprzymierzonych, ale sojuszem związani jesteśmy tylko z W. Brytanią. Sojuszowi temu pragniemy być wierni do końca, widząc w nim fundament zdrowego i trwałego pokoju w Europie. Odrzucaliśmy i odrzucamy dlatego wszelkie podstępne próby podważania naszego zaufania do W. Brytanii, wszelkie wychodzące nie tylko z Berlina namowy, byśmy szukali oparcia w innych stolicach kontynentu, poza Londynem. I choć nasza wierność sojuszowi z Anglią była jednym z powodów szczególnego prześladowania narodu polskiego oraz dotychczas jest jedną z przyczyn trudności, które posiadamy z pewnymi mocarstwami, pragniemy nasze zobowiązania sojusznicze wypełniać dalej po żołniersku, w poczuciu odpowiedzialności za los tej sprawy, dla której sojusz polsko-brytyjski został zawarty, a która jest dla nas nadal święta.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga. II Korpus, który rozpoczął walkę we Włoszech, składa się w olbrzymiej większości z ludzi mających za sobą przeżycia, jakich nie zna historia żadnej innej armii sojuszniczej. Ludzie ci przeszli piekło niewoli, zesłania, obozów, głodu i poniewierki, która ogniu cywilizowanej wydaje się nieprawdopodobna. A jednak po okresie przygotowań stanęli znowu bez wahania, a z wielką wiarą do walki przeciąc cała swą postawą przekonaniu niektórych ignorantów czy cyników na zachodzie, jakoby poczucie narodowe i przywiązanie do swej ziemi, było wykrystalizowane wyłącznie na zachodzie, a na wschodzie, od Polski począwszy rozpływało się we mgle. W tym dowolnym przekonaniu niektórych snobów miedzynarodowych znajdują cynicy podstawę do dowolnego proponowania zmian granic państw i narodów na wschodzie Europy raz na prawo, raz na lewo.

Idąc do boju żołnierze II Korpusu dają świadectwo przywiązania do idei państwowej i narodowej, ucieleśnionej w ziemi, z której pochodzą. A ziemia ta jest Wileńszczyzna, Nowogródczyzna, Polesie, Wołyń, województwa południowo-wschodnie. Jeżeli kto chce jeszcze dowodów, czy w Polsce istniało głęboko zakorzenione poczucie narodowo-państwowe i czy Polska jest pojęciem płynnym czy stałym, znajdzie je w tej upartej niezłomnej, niczym nie osłabionej, fanatycznej woli walki wciąż o te same sprawy, mimo przeszkód wszelakich, stawianych przez jawnych, czy ukrytych wrogów. Polska nie jest dla żołnierza Rzeczypospolitej hasłonikiem, który można dowolnie kurczyć lub rozdymać, ale całością wyraźnie zarysowaną. Nikt nie może jej żadnej części ani sprzedać, uszczuplić, wydzierżawić czy kupić, ani też podstępem lub jednostronną decyzją zagarnąć.

Uparty i niczym nie zachwiany udział Polski w tej wojnie jest wreszcie wskaźnikiem, że dzielenie naszego kontynentu na Europę A na zachodzie, Europę uprzywilejowaną, bogatą i świadomą swej roli, i Europę B, która traktuje się z lekceważeniem, jako niezdolną do konsekwentnych wysiłków, jest taką samą fikcją jak fikcyjnym stał się układ lokarneński z roku 1925. Miał on zabezpieczyć pokój umacnianiem go jedynie nad Renem z pozostawieniem sytuacji nie wyjaśnionej nad Wisłą, a był jedną z przyczyn wojny. Fikcyjnymi okazują się również obecne próby dzielenia Europy na atlantycką i poza-atlantycką lub i ograniczania jej bezpieczeństwa do strefy wyłącznie zachodniej.

Żołnierz polski idąc dziś do boju sprzeciwia się tym starym i nowym teoriom, którym przeciwstawia *wolność i bezpieczeństwo całej Europy*. Walka jego nie jest czczą demonstracją, ale czynem mającym określone cele pozytywne, których realizacja spoczywa w ręku czynników odpowiedzialnych za losy państwa. Armia jest narzędziem polityki państwa, ale czyn żołnierza, jak i ofiara całego narodu można być *jedynym* natchnieniem polityki polskiej, która w przeciwnym razie straciłaby grunt pod nogami.

ZNOWU LINIA CURZONA

Stosunki polsko-sowieckie przechodzą obecnie fazę tajnej dyplomacji. Dlatego też zwykłemu śmiertelnikowi trudno jest ocenić, a nawet powiązać następujące po sobie fakty, które niejednokrotnie są zapewne wyrazem subtelnej gry dyplomatycznej. Po owocach dopiero zdołamy poznać cele oraz wartość różnych zabiegów, których powody są przed nami ukryte.

W dniu 19 lutego ogłoszono, że rząd polski polecił przywódcom polskiego ruchu podziemnego wejść w kontakt z dowództwem wojsk rosyjskich i ustalić podstawę współdziałania między polskimi siłami zbrojnymi a armią rosyjską. Komunikat Reutera podając to do wiadomości podkreślał, że w posiedzeniu Rady Ministrów która przyjęła powyższą uchwałę, wziął udział Naczelny Wódz, gen. Sosnkowski.

Następnego atoli dnia, łącznie z informacją, że premier Mikołajczyk odbył narade z premierem Churchillem, podano w „New York Times", iż rząd polski pragnie współpracować z Rosją w czasie działań wojennych na terenach polskich po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między obu krajami.

O nawiązaniu stosunków dyplomatycznych jako warunku rozpoczęcia współpracy wojskowej między obu stronami nie było mowy w pierwszej wiadomości. Czy widoczna sprzeczność obu informacji jest przypadkową, czy też wyraża nową fazę rokowań prowadzonych za kulisami, tego nie chcemy przesądzać. Natomiast korespondent „Observera" doniósł, że marsz. Stalin oświadczył miał przed korpusem dyplomatycznym w Moskwie, że „gotów jest porozumieć się z rządem Mikołajczyka w sprawie przekazania mu administracji terytorium polskiego na ziemiach na zachód od linii Curzona niezwłocznie po ich uwolnieniu od niepryjaciela i nie czekając na zakończenie działań wojennych".

Oświadczenie to było złożone w związku z zapewnieniami, że „Rosja nie posiada żadnych zamiarów ekspansywnych na terenie środkowej i zachodniej Europy". Stalin przekonywał swych słuchaczy, że nie wejdzie na żadną „ryzykowną drogę", a ci, którzy go posadzają o co innego, nie doceniają jego „zmysłu rzeczywistości". Polityka bowiem jego „wpływa ze strategicznych potrzeb Rosji, które wymagają uporządkowania na nowo spraw terytorialnych i politycznych w Europie wschodniej".

Ze sposobu wysuwania wszakże sprawy linii Curzona i gotowości uznania (wątpliwej, jak się przekonamy) suwerenności polskiej na zachód od niej wynika jasno, że Rosja zamierza „porządkować" sprawy Europy środkowo-wschodniej *sama i jednostronnie*, a nie na podstawie porozumienia z innymi zainteresowanymi rządami, do których przede wszystkim należy Polska, jako kraj pierwszy w obronie tej strefy zaangażowany w wojnie. Decyzje tego rodzaju mogą może zapadać w Moskwie, ale nie będą one uznane za obowiązujące przez naród polski. Jeżeli Rosja pragnie przekonać świat o niepodsiadaniu zamiarów imperialnych, winna ona przede wszystkim zaniechać prób jednostronnego narzucania swych decyzji, bo tą drogą do niczego nie dojdzie.

DO CO WŁAŚCIWIE CHODZI?

Powstaje tylko pytanie, czy Rosji istotnie zależy na tym zaufaniu, i czy zapewnienia Stalina o odrzucaniu przez niego wszelkich dążeń władczych nad Europą środkową i zachodnią nie miały innych celów na oku i nie wiązały się z bardziej subtelną jeszcze grą.

„Pojednawczym" oświadczeniom Stalina — o ile za pojednawcze propozycje można uznać gotowość oddania rządowi polskiemu administracji na ziemiach położonych na zachód od linii Curzona — towarzysza bowiem gesty innego rodzaju, które chyba mają również swój sens.

Od pewnego czasu prasa sowiecka stała się niesłychanie drażliwa. Moskiewska „Prawda" zamieściła nową nieprzyjemną dla brytyjskiego sojusznika informację o wypuszczaniu przez władze brytyjskie drogą zamiany „zdrowych" jeńców niemieckich, którzy następnie posyłani są na front sowiecki.

Do tej samej kategorii wystąpień należy zaliczyć napaść moskiewskiej „Woiny i Klasy Pracującej" na londyński „Daily Telegraph", który Bogu ducha winny, wspomniał w jakimś artykule, że „historia uzna, iż bitwa o W. Brytanię stała się początkiem końca niemieckich sukcesów". Okazuje się, że tak pisać nie wolno, gdyż nie bitwa o Wielką Brytanię, ale bitwa o Stalingrad zadecydowała o losach wojny. Wszystko, co było przed bitwą stalingradzką, jest nieważne. Kto pisze inaczej, jest wrogiem Sowietów, prawdopodobnie faszystą.

Uwagi „Woiny i Klasy Pracującej" służyły zresztą do gorzkiego wspomnienia zachodnim aliantom ich rzekomo zbyt długiego przygotowywania się do uderzenia na Niemcy.

Jeżeli wszakże tak cierpkie głosy padają w Moskwie pod adresem Anglii, to cóż mówić o Polsce. Jest ona, a zwłaszcza jej rząd, a także Naczelny Wódz przedmiotem nieustannych, najbardziej wulgarnych napaści ze strony prasy sowieckiej. Pisma brytyjskie przemilczają na ogół szczegóły tej kampanii, która jednak jest zbyt systematyczna, by nie miała swego celu.

Tygodnik angielski „Spectator" z dnia 18 lutego odpowiedział wszakże na te napaści zaznaczając ze zniecierpliwieniem, że „nowy atak „Prawdy" na rząd polski nie daje się w żaden sposób usprawiedliwić". Istotnie rząd polski występuje z coraz to nowymi dowodami swej ustępliwości i chęci nie drażnienia podrażnionego sąsiada. Mało to wszakże pomaga. Widocznie pomóc nie może.

W dniu 22 stycznia ten sam „Spectator" omawiając w obszernym artykule stosunki polsko-sowieckie stwierdzał, że odrzucenie ostatniej propozycji ugodowej rządu polskiego sprzed miesiąca godziło nie tylko w p. Mikołajczyka, ale i w p. Edena, który osobiście zaangażował się w opracowaniu tego dokumentu. Pismo zapytywało z niepokojem: „co to za komar wsaczył jad perwersyjny w żyły p. Mołotowa" i dodawało tajemniczo, że „na wszystkie te tematy można by wiele więcej powiedzieć. Lepiej jednak jest o wielu z tych spraw *nie nie mówić*".

Musimy i my uszanować tę dyskrecję i sami ją zachować. Nie sądzimy wszakże, by jednoczesne prowokowanie opinii angielskiej nie mówiąc już o polskiej, jak i zapewnienia, że terytorialne ambicje Rosji nie wykraczają poza linię Curzona i że Moskwa nie zamierza rządzić nad środkowo-zachodnią Europą były z sobą sprzeczne. Wszystko zależy od tego, *w jakim punkcie szerokości geograficznej* manewry te się obserwuje. Znana dziennikarka amerykańska, pani Thompson, wystąpiła znowu z artykułem, w którym twierdziła, że Rosja daży na razie do militarnego odzyskania swych „granic" z r. 1941. A potem? Potem rozpocznie się nowa faza polityki zagranicznej...

W OTWARTE KARTY

Są to na razie przypuszczenia i tajemnice. Ale istnieją tematy, które nie są już objęte dyskrecją. „Spectator" z dnia 22 stycznia zaznaczał, że nie można dłużej ukrywać faktu, iż polityka Mołotowa zmierza do obalenia władz polskich w Londynie i do zastąpienia ich przez Związek Patriotów Polskich. Pismo zaznaczało, że należałoby wyjaśnić, jak te plany dadzą pogodzić się z ciągle powtarzanymi zapewnieniami Stalina, iż pragnie Polski wolnej i niepodległej.

Tygodnik angielski wyobrażał sobie również, że posunięcia moskiewskie winny zaniepokoić (w co wątpimy) p. Beneszą, który zapraszał przecież Polskę do paktu czesko-sowieckiego, wskazując nam na jego klauzulę o wzajemnym zobowiązaniu się kontrahentów do nie mieszania się w wewnętrzne ich sprawy. Wobec tego, że podobna klauzula znajduje się w traktacie brytyjsko-sowieckim, p. Eden, zdaniem „Spectatora", winien również zażądać wyjaśnień, jak Rosja zamierza klauzulę tę interpretować w świetle swych posunięć wobec Polski.

A posunięcia te są całkiem wyraźne. Rząd polski ogłosił dwie odezwy: Pierwsza — pełnomocnika rządu na kraj z dnia 15 listopada 1943 r. W odezwie tej pełnomocnik rządu przewidując wkroczenie wojsk sowieckich do Polski wzywał ludność do zachowania „godnego i poprawnego stanowiska wobec tych wojsk pomnąc, że są to sprzymierzeńcy naszych wielkich aliantów w walce z Niemcami". Druga odezwa jest manifestem „rady jedności narodowej" w kraju w sprawie dywersyjnej działalności komunistów w Polsce, którzy zmierzają do utworzenia „czegoś w rodzaju Ludowej Rady Narodowej" i już posiadają swego „komendanta ludowego". Ma on stanąć na czele „armii ludowej", oczywiście niezależnej od legalnych władz polskich. Cele tej działalności są tak przejrzyste, że nie wymagają komentarzy. Stwarzają one specjalną atmosferę dla wszelkich układów z Rosją Sowiecką.

Ale czy gdzie indziej ma dziać się inaczej?

Wśród warunków pokojowych, które mają być przedłożone Finlandii, znajduje się zmiana jej rządu, co jest szczególnym sposobem stawiania sprawy, jeżeli chce się w zasadzie szanować suwerenność danego kraju. Poranie tylko czy narody, które nie zatraciły swej godności uważać zechcą rządy o składzie narzuconym z zewnątrz za rządy narodowe.

MNIEJSZE NARODY ŁĄCZCIE SIĘ!

Wszystkie te posunięcia pokrywa się napaściami na mniejsze narody, których krwiożerczość i imperializm zagrażają podobno niektórym znanym z niewinności gigantom. Doczekaliśmy się bowiem okropnych czasów, w których jagnięta atakują tygrysy. „Czerwona Gwiazda" pisała zatem z najwyższym oburzeniem: „Małe i średnie narody, które pokrywają fałszywymi frazesami o swej rzekomej walce niepodległościowej własne agresywne aspiracje, nie mogą oczekiwać pomocy od wielkich demokratycznych mocarstw". Zgadzamy się z tym całkowicie pod warunkiem, że pomocy od wielkich demokratycznych mocarstw nie będą oczekiwały również pewne wielkie imperia...

Wystąpienie „Czerwonej Gwiazdy" wiązało się, jak się okazuje, z propozycją prasy tureckiej, by mniejsze narody zebrały się na konferencji dla omówienia wzajemnych zagadnień powojennych. Prasa turecka stwierdzała, że wojna obecna osiągnęła już tę fazę, w której zjazd taki byłby możliwy. Propozycja turecka jest zgodną z tezami naszego wstępnego artykułu.

OFENSYWA NA JAPONIĘ

Zdajemy sobie sprawę, że Niemcy czytając różne głosy i polemiki między aliantami mogą nabrać przekonania, że otworzy się w końcu przed nimi możliwość zawarcia pokoju kompromisowego bądź z mocarstwami anglosaskimi, bądź z Rosją. Zaciętość ich obrony we Włoszech i w Rosji oraz wznowienie nalotów na Londyn są wyrazem tego właśnie przekonania. Niemcy chcą zyskać na czasie. Wchodzimy poza tym znowu w tę fazę wojny, w której manewry polityczne zaczną odgrywać główną rolę kryjąc się nieraz za posunięciami strategicznymi.

W Rosji wojskom sowieckim udało się zająć na północy Starą Russę, a na południu zlikwidować otoczone oddziały niemieckie pod Kaniowem. Nie dowiemy się zapewne do końca wojny całej prawdy o tych odciętych dywizjach niemieckich. Niemcy w ostatnich komunikatach twierdzili, że zdołali znaczną część wycofać z pułapki. Źródła sowieckie wspominały najpierw, że okrążeniu uległo 150 tys. żołnierzy, później redukowały tę liczbę do 120 tysięcy, 100 i 80 tysięcy. Ostatnie komunikaty sowieckie stwierdzały, że wojska rosyjskie wzięły tam do niewoli 18.000 jeńców, a 55.000 Niemców poległo. Jedno jest pewne: walki pod Kaniowem trwały przeszło dwa tygodnie hamując napór sowiecki w kierunku wschodnim w stronę rzeki Boh i linii kolejowej Odesa—Lwów. Czy ataki te zostaną obecnie wznowione — okaże najbliższa przyszłość.

Rzecza nową w prowadzeniu wojny jest wielka ofensywa lotniczo-morska Amerykanów na Pacyfiku. Zajęcie Wysp Zielonych w Archipelagu Salomona, dalsze obsadzanie wysp w Archipelagu Marshalla, zniszczenie wielkiego konwoju japońskiego, a przede wszystkim wielki atak na Truk — główną bazę japońską w tej części oceanu i zatopienie tam 19 okrętów japońskich jest nie tylko odwetem za Pearl Harbour, ale początkiem prawdopodobnego przełomu w układzie sił na Oceanie Spokojnym.

Amerykanie przestali się posuwać z wyspy na wyspę a uderzają w same ośrodki oporu japońskiego. Przewaga ich na morzu staje się coraz wyraźniejsza.

Rozmach ofensywy amerykańskiej, o ile uwieńczony będzie dalszymi powodzeniami, może mieć poważne następstwa polityczne. Gdyby Amerykanie dojrzeli do przekonania, że dadzą sobie radę z Japończykami w oparciu tylko o W. Brytanię i o Chiny oraz że narody anglosaskie załatwią zagadnienie Japonii jak i Dalekiego Wschodu wyłącznie w porozumieniu z Chinami, a bez żadnej innej pomocy, to fakt ten miałby nieobliczalne następstwa dla dalszego prowadzenia wojny i dla układu sił po wojnie.

D. I.

Ś. p. mjr dypl. Stanisław Kaliński

W dniu 16 stycznia br. zginął w nieszczęśliwym wypadku mjr dypl. Stanisław Kaliński, Dywizja Karpacka, której był jednym z pierwszych żołnierzy, straciła w nim wybitnego oficera w chwili, gdy był może najbardziej potrzebny, bo w przededniu działań bojowych.

Wspomnienie pośmiertne po zmarłym zamieścimy w najbliższym numerze.

Od Redakcji

Z prawdziwą przykrością stwierdzamy, iż w specjalnym wydaniu angielskim „Orła Białego" No. 96 B przez niedopatrzenie opuszczone zostało nazwisko autora artykułu „Map and Frontiers". Autorem jest p. mgr W. Romanow, co niniejszym uzupełniamy.

W ostatnim półroczu odszedłem od sprawy żydowskiej. Ma ona inny aspekt, kiedy się studiuje historię, literaturę i religię żydowską, a inny, kiedy się stykać z żywymi ludźmi. Należało nieco odpocząć i zająć się sprawami obchodzącymi nas najbliżej.

I tak los zdarzył, że w przeddzień opuszczenia, zapewne już na zawsze, Ziemi Świętej, przyszło do mnie gorącym tchnieniem raz jeszcze Żydostwo z samej głębi swojego gettowego jestestwa.

Przyjechał — cadyk z Bełżca.

Kto to jest cadyk z Bełżca? Cóż to za rarytas? — spyta polski czytelnik pochodzący z kraju, w którym za ścianą działy się rzeczy, o których nie miał pojęcia.

Tego cadyka tu jednak witał w Haifie przedstawiciel Wysokiego Komisarza, delegaci wszystkich instytucji żydowskich, nawet najbardziej bezbożnych, trzy gminy: safadzka, która stróżuje groby rabinów Hillela, Szamaja, Sandalowa, Ben Jochai od dwu tysięcy lat, tyberiadzka, gdzie spoczywają zwłoki Majmonidesa (przepołowione ścianą dzieląca bożnicę Żydów sefardyjskich i askenazyjskich) i jerozolimska — walczyły ze sobą o to, gdzie świątobliwy mąż zamieszka; od Motzy, położonej o osiem kilometrów od Jerozolimy, prowadziły nadjeżdżającego cudotwórcę rzesze wyznawców splatając wolno posuwające się koła taneczne, posuwając się w ekstazie tanu tyłem do kierunku drogi, przodem do jadącego za nimi rebe — tak jak dwa i pół tysiące lat temu tąż samą drogą wiódł w triumfie do Świętego Miasta król Dawid Arkę Przymierza, zwróconą przez Filistynów, którym zbrzydły wrzody na siedzeniach, zesłane im za karę za przetrzymywanie skrzyni.

Cadyk Rokach z Bełżca, imiennik i krewny burmistrza Tel-Avivu Rokacha, który studiował w Szwajcarii i mówi, jak sprawdziłem, świetnie po angielsku, francusku, niemiecku (racz zważyć rozpiętość i ciągłość, czytelniku łaskawy), cadyk Rokach urodzony z prapradziada w Polsce i nie mówiący żadnym językiem — to jest potomek dynastii chasydzkiej wywodzącej się od samego założyciela chasydyzmu, Beszta, w połowie XVIII wieku na Pokuciu głoszącego w Żydostwie nową prawdę — nawrotu od „pilpulu" (talmudycznej kazuistyki) do wiary nie mędrkującej a gorącej, do modlitwy żarliwej, do wiary w cuda i w legendy, do ubóstwiania świątobliwych autorytetów, które rychło dały początek dynastiom — dworom cadyków w Bełżcu właśnie i w Czortkowie, w Górze Kalwarii, w Błoniu, w Międzyrzeczu i gdzie indziej.

Reb Rokach wyjechał z Polski przed dziewięciu miesiącami wraz z bratem, rabinem z Biłgoraja.

Jadę do nich w szabas, aby zamówić audiencję. Cadyk mieszka za dzielnicą Żydów bucharskcih w odrapanej kamienicy jednego ze swych wyznawców. Nad bramą napis hebrajski z błogosławieństwem powitalnym, drzwi zaryglowane przed gromadą rozgorączkowanych wyznawców, policja. Wewnątrz nieco brodatych patriarchów, adiutant w tałesie, przepasany sznurem „zynar". „Zynar" jest pochodzenia perskiego, przejęty od czcicieli ognia jeszcze z czasów przed Hamanem i Ahaswerusem, ma oddzielać brudne części ciała od górnych, będących siedzibą ducha. Byli nawet w dziejach tak skrajni obserwanci, którzy dotknąwszy się przypadkowo ubrania poniżej pasa, myli ręce. Tałes adiutanta jest szczątkowym zabytkiem po arabskiej „abbaje", jego białe pończochy dała Hiszpania, kołpak futrzany na jego głowie jest mutacją szlacheckiego polskiego kołpaka (proszę nie mieszać ze „sztramlem" — lisia czapa, złożona z trzynastu kawałków futra, ze spiczastym aksamitnym dnem — ta przywędrowała od Tatarów).

Naznaczają mi audiencję na jutro — o g. 2 u brata cadyka, o g. 9 u cadyka.

Światło w lokalu się pali, bo w szabas nikt go nie ma prawa zgasić. Proponuję, że ja zgaszę, ale nie zgadzają się. Jakże mogłem zrobić taką gaffę: goj może zgasić za Żyda, ale Żyd nie ma prawa go o to poprosić. Opowiadał mi jeden Żyd o swoim bardzo pobożnym ojcu, który miał ochotę studiować talmud jeszcze za ciemna w szabasowy przedświt. Rozbudził więc stróża Iwana pytając, czy nie napiłby się wódki. Naturalnie ucieszony Iwan zapalił dla tej procedury światło, ale napiwszy się, chamski łeb, światło zgasił.

Z powrotem znowu przeciskam się przez ciżbę — wniebowziętą, zachwyconą. Czuję się uskrzydlony tym zachwytem tłumu, który się trąca łokciami, ociera się o mnie. Niewątpliwie jutro pójdzie wieść, że sam najgłówniejszy generał wizytował cadyka.

Kiedyś wyjeżdżałem z Iwonicza i tym samym pociągiem wyjeżdżał jakiś cadyk

MELCHIOR WAŃKOWICZ

U CADYKA Z BEŁŻCA

w wielkim gwałcie zachwytu. Jako dziennikarz dostąpiłem zaszczytu dostania się blisko i jego adiutant dał mi grosz „od samego cadyka" — „na szczęście". Tragarz poprosił mnie o ten grosz zamiast napiwku. Rzucili się nań rozgorączkowani chasydzi i w mig dolicytowali grosz do pięciu złotych.

I mówić tu, że imponderabilia nie mają materialnej wymowy.

JAK TAM W POLSCE?

Nazajutrz o godzinie drugiej jestem u rabina z Biłgoraja. Gospodarz mieszkania wita mnie z czołobitnością jako „pana ministra". Okazuje się, że byłem wraz z nim kiedyś na modłach w małej ciekawej świątyńce dynastii międzyrzeckiej w dzień Jom Kipur. Nogi mi namarzły na kamiennej posadzce, bo trzeba było buty zzuć, ale serce rozgrzało się na widok modłów. Jest to najbardziej ekspansywny styl modlitwy. Reb Berdyczower miał zwyczaj odwracać się w czasie modłów i wołać: „Poddawaj żaru!" (po rosyjsku). Brodaci chasydzi kręcą się w kółko i podskakują z pięściami podniesionymi w górę, wypychając własną modlitwę ku niebu.

Byłem więc z punktu dobrze wprowadzony.

Rabin z Biłgoraja — również nie mówi po polsku. Tak jak nie mówił po polsku dyrektor słynnego jeszibotu w Mirze, z którym musiałem mówić po niemiecku, jak nie mówił po polsku kierownik „Beit Hamidrasz" (uczelni) w Raduniu, jak bodaj nie mówił po polsku słynny reb Berliner, dyrektor akademii misnagdystycznej (nie chasydzki, więcej racjonalizujący kierunek) w Wołożynie.

Pytam rebego o miejscowego ziemianina, mającego domy w Biłgoraju — grubą figurę — rebi nic nie wie, nie słyszał o nim; wszystko co dzieje się na powierzchni życia, tam gdzieś, w górze polskiej — jest mu obce. Dynastia bełżecka nie należała nawet do Agudy. W dni wyborów jej zwolennicy demonstracyjnie szli do urn z jedynkami (lista sanacyjna) w ręku, tak jak za austriackich czasów szli z numerami nakazanymi przez namiestnika. Co im do rzeczy świeckich? Żydzi nie powinni nawet wydawać własnych gazet. Żydzi — powinni się modlić. Żydzi powinni czekać Mesjasza. Gorliwi nawet jedli przede wszystkim mięso — a potem zupę. Bo może akurat Mesjasz nadejdzie i mięsa się zjeść nie zdąży. To nie naiwność — to gorliwa symbolistyka. Pytam o znajomych moich Żydów z Biłgoraja. Wie o nich jak przez mgłę, że wynieśli się do Zamościa.

Ten człowiek patrzy na życie jak przez silną soczewkę. Powiększa mu się jeden mały punkt obserwacji — wszystkie peryferie zamazane. Jakże tu robić wywiad z takim?

Obaj bracia z rodzinami uciekli w czasie wojny ku wschodowi. Rabini mieszkali w Brzeżanach, ich rodziny w Przemyślanach. Kiedy wybuchła wojna, Brzeżany były silnie bombardowane. Rabini siedzieli w schronie u polskiego majora, który sam nie nocował w domu.

W Przemyślanach dywersanci przy patronacie niemieckim złapali na ulicach czterdziestu Żydów, zamknęli w synagodze i żywcem spalili. Między spalonymi był syn cadyka. Trzej inni jego synowie wraz z rodzinami byli rozstrzelani na dworcu przy wysiadaniu z pociągu. Niobici!

Te straszliwe dzieje wyłamuję z ciężkim trudem z chropawej skorupy „iddysz"—żargonu, którym mówi rabin. Z tej skorupy wyłamuję, że w Brzeżanach przy wkroczeniu Niemców spalono w synagodze dwustu Żydów.

Taki debiut był po wszystkich miasteczkach, a potem było już „dobrze" aż do Jom Kipur („sądnego dnia"). W ten dzień Niemcy wyznaczyli rejestrację grożąc różnymi karami tym, który się na nią nie stawia.

Cadyk i jego rodzina byli uwiadomieni przez swoich zwolenników z wcześniejszej okupacji niemieckiej, że taka rejestracja oznacza wywiezienie. Zdecydowali się nie iść. Schronili się do szpitala żydowskiego z grupką zwolenników.

Minęła godzina, dwie. Lekarze się wyśmiewali, że rabini się ulękli zwykłej rejestracji. Za oknami szpitala stały pojaśniałe martwe ulice. Gromadka trwożnych ludzi patrzyła przez rąbek uchylonych firanek.

Tam gdzieś na placu ważył się los z górą trzech tysięcy Żydów — mężczyzn od lat 18 do 60 lat, jak nakazywało rozporządzenie rejestracyjne.

Nagle ludzie przy oknie drgnęli — na zakręcie ulicy ukazał się Żyd.

— To Mowsza — szewc. Widzi rebe, że poczynają już puszczać ludzi.

— Ja jeszcze nic nie wiem.

Ukazał się drugi człowiek.

— To Szmul — krawiec; niepotrzebnieśmy się bali, rebe.

— Ja jeszcze nic nie wiem.

— Dla rebego prości Żydzi nic znaczą nic — mówi z przekąsem lekarz-postępowiec; on nic nie wie, dla niego wszystko nic nie znaczy, dopóki nie zobaczy bogaczy i rabinów.

I w istocie ich nie zobaczył. Podali się za kupców obawiając się, że rzemieślników wywiozą na roboty frontowe. Tymczasem rzemieślników zwolniono, a dziewięciuset „nieproduktywnych" wywieziono i słuch o nich zaginął — na zawsze.

Ci, którzy się zataili — w dni kilka wypełzli ze schowków po kartki chlebowe. Kartki bez trudności otrzymali i znów wszystko było spokojnie".

„Rejestracja" zataczała kręgi po wszystkich miasteczkach. Wyjeżdżał po to na

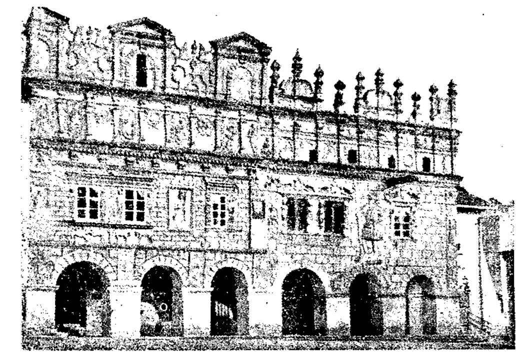

Stary ratusz w Kazimierzu

gościnne występy oddział gestapo z Tarnopola. W miesiąc po Brzeżanach dotoczyła się do Przemyślan. I czyż nie dziwna jest natura ludzka! Mimo, że wiedziano już, czym się rejestracja kończy, ludzie, jak urzeczeni, szli na plac zbiórki. Od rejestrowanych mężczyzn gestapowcy oddzielali kobiety. Zatajeni w mieście posłyszeli salwę i straszne wycie kobiet, które przesiąkło każdy cal miasteczka. Zabito na miejscu stu kilkudziesięciu, „nieproduktywnych" wywieziono.

A potem „znów było dobrze" jak mówi rebe nie zaczepiony o świat zewnętrzny, zatopiony w postach i myśleniu. On jest w nurcie, a ostatecznie czy nie wszystko jedno, czy goj, który po brzegu nad tym nurtem chodzi, nazywa się tak czy inaczej?

To „dobrze" psuło się za każdym razem, kiedy Niemców spotkało coś przykrego. Bezpośrednio po proklamowaniu wojny z Ameryką i strzałach na Pacyfiku, poczęto wyłapywać Żydków po uliczkach Brzeżan, Przemyślan, Mościsk i setkach innych miasteczek. Wyłapywano ich przy pomocy milicji żydowskiej i wysyłano na roboty przymusowe.

— Nasi „anhaenger" (zwolennicy) — mówi rabin — pisali do nas, żeby wracać na tamtą stronę, bo stosunki są więcej uporządkowane.

Zapłaciwszy łapówki po 200 i po 300 złotych od osoby pojechali do Wiśnicza i znów było „dobrze", można było studiować talmud, a ryba szabasowa pojawiała się na stole w każdą sobotę regularnie.

Pogorszyło się, kiedy Niemcy poczęli brać w Rosji w skórę.

W czerwcu 1942 „anhaenger" przysłali list, że rozpoczęła się akcja nie przesiedlania i nie brania na roboty publiczne a wyniszczania.

W sierpniu — przyszła kolej na Wiśnicz. Niemcy nałożyli niemożliwą do zapłacenia kontrybucję. Wiadomo było, że jako kara za niezapłacenie — następuje wywiezienie. Niosąc opłaty Żydzi z makabrycznym, właściwym sobie humorem żartowali, że jak się składa prezent ślubny, to za dwa tygodnie będzie ślub. Do tej samej kategorii należy dowcip: dwóch Żydów żegna się ze sobą życząc wzajemnie, żeby się jeszcze kiedy spotkali — choćby w jednym kawałku mydła...

Istotnie — Niemcy obwieścili radzie żydowskiej, że będą przewozili okoliczne miasteczka na punkt zborny do Bochni.

Obaj bracia - rabini nie czekając naznaczonego dnia czmychnęli do Krakowa, gdzie *za łapówkę wpuszczono ich do getta.* Wówczas, w sierpniu 1942 r., z 80 tysięcy zostało w Krakowie 20000. W Bochni tymczasem zebrano 10000 Żydów, z czego 1200 rozstrzelano na miejscu, a resztę gdzieś wywieziono.

I znów „było dobrze". Były ryby i kury i pomoc lekarska własnych lekarzy i lekarstwa w aptekach.

Aż wreszcie, kiedy pod wiosnę zeszłego roku znowu poczęło być źle, węgierscy chasydzi zorganizowali ekspedycję ratunkową. Rabin mówi, że przysłano do niego i brata — oficera węgierskiego w uniformie i wyjechali. Mówiono mi następnie, że to kosztowało chasydów węgierskich dziesięć tysięcy funtów.

U CADYKA

O naznaczonej godzinie udałem się do cadyka. Tłum brodatych postaci zalegał klatkę schodową. Jak w kraju. Chasyd przynosił kartkę — westchnienie: żeby był zdrow, żeby mu się powodziło; pisaną koniecznie gęsim piórem, posypywaną popiołem. Cadyk przyjmował kartkę, wygłaszał błogosławieństwo, uszczęśliwiony petent uiszczał adiutantowi daninę i ulatniał się. Zamożniejsi pokazywali bilanse, radzili się. Było we zwyczaju chasydzkich firm dopuszczać cadyka do stałego udziału w zyskach.

W brudnym, odrapanym, niemal bez mebli pokoiku powstał na moje spotkanie mały człowieczek o tatarskiej rzadkiej bródce i palących oczach. Potrząsł mię kilkakrotnie za rękę i prosił siadać. Siedzieliśmy tylko my trzej: cadyk, jego brat i ja. Reszta otoczenia — kilka osób — stała z szacunkiem dookoła. Na stole postawiono talerzyk z trzema mandarynkami.

Wygłosiłem powitalną orację po polsku, która skwapliwie przetłumaczono, po czym pytałem o los Żydów polskich.

Mały człowieczek o palących oczach poruszył się żywo na krześle: jest z nimi źle, bardzo źle. Widziałem, że albo nie chce, albo nie umie mówić na tematy świeckie. Bałem się, że mnie niedokładnie tłumacza, więc przeszedłem na niemiecki: „Co by chciał, żebym oświadczył czytelnikom polskim?".

Poruszył się z zażenowaniem w krześle, pochylił się żywo do brata. Brat autorytatywnie oświadczył, że rabin wyraża pragnienie, aby się ludzie miłowali i żyli w pokoju. Trochę mi ta procedura odpowiedzi przypomniała gen. Żeligowskiego po zajęciu Wilna. Po każdym moim pytaniu przechylał się przez wielki wazon porcelanowy dzielący go od adiutanta i pytał:

— Nu, a co pan kapitan myśli o tym?

Adiutant, Aleksander Prystor, za każdym razem bez zmrużenia oka odpowiadał:

— Zdaniem pana generała itd....

Paliło mię spytać o sjonizm, ale należało wprzódy rozgrzać atmosferę. Pochwaliłem się więc, że komentarze do talmudu Raszi'ego rozumiem łatwo, ale komentarze stu pięćdziesięciu mężów zebrane w tzw. „tossafot" i drukowane na lewym marginesie ciężko włażą do głupiej gojskiej głowy. Po czym prosiłem o wyjaśnienie: czy „bracha" (błogosławieństwo), którą należy odmawiać przed jedzeniem, o ile pożywa się chleb, może być nie odmawiana jeśli chleb nie jest większy, niż oliwka, jak komentuje rabi Hillel, czy jak daktyl, jak dowodzi rabi Szamaj. Jest to jeden z trzech punktów, w których rabi Szamaj, na ogół rygorystyczniejszy, jest bardziej łagodny od Hillela. I komentowanie tego problematu trwa dwa tysiące lat.

Rabi Rokach ożywia się i on już teraz zabiera autorytatywnie głos. Niewiele uważam, bo kwestia sama nie tyle mnie obchodzi ile otoczenie. Rozanielone, wniebowzięte twarze, chłonące sam miód mądrości. Ręka rabina robiąca krótkie gesty, uderzająca w stół, *Roma locuta, causa finita* — dla jego 50,000 wyznawców. Ale zaraz w sąsiedniej dynastii podniesie się charakterystycznym gestem dyskusji talmudycznych wątpiący, ironiczny knykieć i postawi kontrtezę. I przy tych tysiącznych kontrowersjach przez dwa tysiące lat — jedna tylko herezja karaimów w siódmym stuleciu, która jest w zaniku. Ciekawy, niezgłębiony naród!

Teraz, kiedy atmosfera nieco się rozgrzała, przechodzę do sprawy, która mnie obchodzi. Nawracający się na judaizm francuski ksiądz Pallière, zwrócił się o poradę do nadrabina Livorno Banamozegha.

„Nie potrzebuje pan bynajmniej przechodzić na judaizm, aby być Żydem — pisał rabi Banamozegh — my Żydzi jesteśmy kapłanami ludzkości i mozaizm obowiązuje kapłanów. Ale niedobrze jest, gdy kapłani są bez owczarni. Chrześcijanie mogą zostać Żydami — zwykłymi owieczkami, których teraz nie ma, kontentując się nawrotem do noachizmu, tzn. wiary, jakiej się trzymał przed Mojżeszem Noe. A więc mogą się nie obrzezywać, jeść trefne, nie trzymać się 613 nakazów Tory, nie obserwować szabasu, nie mogą tylko uważać Chrystusa za Boga, nie mogą wierzyć w Trójcę Świętą i coś tam trzeciego (nie mam pod ręką notatek, kiedy to piszę). Potem znalazłem potwierdzenie tego samego w książce wydanej w Londynie w siódmym dziesiątku lat zeszłego stulecia. Poza tym nikt z pytanych ortodoksyjnych Żydów nie potwierdzał mi tej tezy.

Cadyk Rokach z ogniem ją j[illegible] firmował. Tak, byle by się trzy[illegible] miorga przykazań obowiązujących [illegible] — będzie się Żydem.

— I świninę można jeść? — pytam.

— Tak — potwierdza stanowczym głosem cadyk.

— Tak — dla wszelkiej pewności potwierdza tłumacz. Można jeść „chazir" (świnię) i będzie się Żydem.

Pytam teraz o sjonizm. Czy rabi nie potępia, że młodzież mówi po hebrajsku? Wiadomo przecież, że ortodoksja długie lata uważała to za profanację świętego języka Księgi.

Cadyk mówi, że byle byli wierzącymi i porządnymi ludźmi, to mogą mówić po hebrajsku.

— A czy rabi uważałby za możliwe odbudowanie świątyni?

Aż go rzuca. Nie, nigdy! Po raz trzeci świątynia nie może być odbudowana.

Konsekwentni ortodoksi uważają Palestynę za taki sam *golus* (ziemię wygnania) jak i każdy inny kraj. Wszystkie ich myśli zaczepione są o przyjście Mesjasza. Może przyjść każdej chwili bez względu na okoliczności. Ale przyszedłby natychmiast, gdyby raz zdarzył się taki szabas, w którym jego przepisów nie przekroczyłby żaden Żyd na całym świecie.

Czas kończyć rozmowę, następny interesant czeka. Zmuszają mnie, żebym jadł mandarynkę. Cadyk chcąc mnie zachęcić bierze sam jedną w rękę, daje pół bratu i poczyna rzuć wypychając miąższ językiem z ust bez troski na to, gdzie padnie.

Wstając ściska mnie serdecznie za rękę, życzy szczęścia mnie i mojej rodzinie. Brodaty dworzanin sprowadza mnie ze schodów aż do drzwi, przed którymi stoi aerodynamiczna limuzyna jakiejś ważnej osoby, która przyjechała po mnie.

Tłum chasydów trwa wiernie. Wreszcie rozprasza się i oni. Tylko do późna w noc siedzieć będzie mały ascetyczny człowieczek zatapiając się w księgach. Nie potrzebuje dla siebie nic — dwa dni w tygodniu nie je nic, resztę dni zagładza się. Asceza jest asceza taka sama w każdej religii. A duch goreje tam, gdzie chce. I dlatego ogładzony, wychowany w Anglii naczelny rabin Palestyny wyjeżdża na spotkanie małego niepozornego człowieczka z Bełżca, Żydzi innego kraju ratują go za dziesiątki tysięcy funtów, rząd Palestyny daje asystę policji.

A bezbożny „szuw" (ludność żydowska Palestyny) pochyla głowy przed odrapaną kamieniczką, w której promienieje duch ich narodu.

O KONGRES WOLNEJ EUROPY

(Dokończenie ze str. 1-szej).

Naturalni sprzymierzeńcy Polski

Broniąc tak zawzięcie i wbrew wszelkiej „realnej" kalkulacji naszego prawa do suwerennego bytu narodowego, czujemy mocno i głęboko, że bronimy czegoś, co przerasta samą sprawę polską — jakiejś zasady, na która świat dziś zamyka oczy. I dlatego nie czujemy się w swoim romantycznym uporze odosobnieni, dlatego *wiemy*, że mamy licznych i w sumie potężnych sprzymierzeńców, choć żaden z nich nie jest wielkim mocarstwem. Mamy tych sprzymierzeńców we wszystkich narodach, którym grożą te same niebezpieczeństwa co nam i — co ważniejsza — mamy ich praktycznie we wszystkich narodach świata, choćby one same tego jeszcze nie widziały i były zapatrzone w mit Imperium Mundi, w coraz na pozór uchwytniejszy ideał panowania nad światem lub w niemniej fantastyczne mrzonki o równowadze wielkich imperiów czy „Lebensraumów".

To prawda, nie uczyniliśmy jeszcze nic, by te dwa przymierza przed światem ujawnić, by samym sprzymierzeńcom naszym je uprzytomnić. A przecież to jest dziwne, bo chyba nic się dziś bardziej nie narzuca, jak ten oczywisty fakt, że Polska jest w tej wojnie *symbolem wolności* — i to nie tylko symbolem wolności „małych narodów", ale symbolem wolności wszystkich narodów świata.

Ewolucja koalicji antyniemieckiej

Gdyby nacjonalistyczny imperializm St. Zjednoczonych stał się faktem dokonanym — a nikt nie może powiedzieć z całą pewnością, czy to się już nie stało! — musielibyśmy wyciągnąć wszystkie konsekwencje z faktu, że w r. 1944 zasadniczo zmienił się charakter koalicji anty-niemieckiej. Ta koalicja została skompletowana dopiero w r. 1941 i do r. 1943 działała w milczącym założeniu, że porządek powojenny — tj. że świat po klęsce Niemiec i Japonii — obracać się będzie wokół zjednoczonych potęg anglosaskich. Aspiracje sowieckie i amerykańskie „memento" zmuszają nas do zastanowienia się, czy to założenie — że było także założeniem naszej polityki — jeszcze obowiązuje.

Nadzieje takie wiązaliśmy z Kartą Atlantycka, były istotnie związane z anglosaskim „fair play", ponieważ mogliśmy zakładać, że dwie wielkie demokracje anglosaskie wyida z tej wojny zwycięsko i będą urządzały świat powojenny według swojej woli. Dziś jedno z tych mocarstw oświadcza gotowość porzucenia Karty Atlantyckiej a wiec dale do zrozumienia, że interesów swoich może bronić już tylko z pominięciem jej zasad, lub przynajmniej, że — wbrew swojemu pierwotnemu zobowiazaniu — nie może obstawać przy stosowaniu ich przez jego sprzymierzeńców. Innymi słowy, Ameryka zaczyna rozumieć, że jej możliwości sie skurczyły, bo i dla niej walka toczy sie o życie!

Dlaczego nie podejmujemy inicjatywy?

Wszystkie narody Europy, którym—jak nam — grozi, że zostaną potraktowane jako spadek po Hitlerze — wpatrzone są dziś w Polskę. Patrza na nas narody, które inaczej niż my — znalazły się między dwoma młyńskimi kamieniami całkowicie wbrew swej woli i wbrew mocnemu postanowieniu utrzymania neutralności; patrzą na nas także te, którym nie stało odwagi, by opowiedzieć się za nami, gdy był czas i które zostały zmuszone przez Hitlera do wysługiwania się jego planom i ambicjom. Wszystkie one wiedzą, że byliśmy najsilniejszym państwem w ich gronie i wszystkie doskonale rozumieją, że *polityczne* wciąż jeszcze jesteśmy między nimi najsilniejsi. Czy długo będziemy znosili, by patrzeli na nas jak na *ofiarę* cudzej zachłanności, czyż nie doczekają sie, że wreszcie uczynimy to, do czego jesteśmy zobowiazani — że *podejmiemy inicjatywę?*

Ci wśród nas, którzy się tej inicjatywy boią, tłumacza nam, że mogłaby ona przynieść korzyść tylko Hitlerowi. Sądzą, że nasza inicjatywa musiałaby polegać na wypowiedzeniu się przeciwko Sowietom, a więc na pogłębieniu nieufności między Sowietami a Anglosasami. Przypuszczają, że gdybyśmy przestali okazywać dobrą wolę na wszystkie strony — choćby największym kosztem — gdybyśmy wypowiedzieli jasno i wyraźnie swoje „non possumus" i powołali się nie na takie czy inne *gwarancje*, ale na chaos, jak musi powstać w Europie, jeżeli gra sowiecka nie zostanie wreszcie przerwana—że wtedy Hitler wyjdzie z wojny obronna ręka, bo będzie mógł zawrzeć taki czy inny kompromis ze swoimi wrogami. Mówią, że być może katastrofa jest nieunikniona, ale my musimy się starać, by nie nastąpiła z naszej winy.

Tak mówią ludzie zrezygnowani, tak mówią ci, którzy w duchu uznali, że we wrześniu 1939 zostaliśmy *pokonani*. Ludzie tego samego typu po Maciejowicach wkładali w usta naczelnika Kościuszki ohydne słowa „Finis Poloniae"! Z ludzi tego typu rekrutowali się zawsze wszelcy ugodowcy, minimaliści i kapitulanci. Jakież oni maja prawo rzucać kamieniem na Lavala i Pétaina, na Hache i Quislinga? Ale ci ludzie nie wyrażają woli narodu polskiego, który walczy i pragnie walczyć do końca, narodu, który przetrwał półtorawiekowa niewolę i podniósł się z niej młody i silny, narodu, który nie po to występował przeciwko Hitlerowi, by razem z nim ponosić klęskę!

O rewolucję europejską

Naród polski domaga się polityki odpowiadającej jego znaczeniu jako symbolu wolności, polityki nie schlebiającej wygodnictwu pewnych kół alianckich, które pragną tę wojnę wygrać wysiłkiem minimalnym! Naród polski rozumie, że wielkie demokracje musza dobyć *wszystkich* sił, jeżeli maja uzyskać pokój a nie zawieszenie broni, rozumie on ponadto, że musza one ponieść ofiary i doznać głębokich przeobrażeń wewnętrznych, jeżeli po zwycięstwie maja zaprowadzić w świecie ład, a nie wywoływać nowego chaosu. Naród polski pragnie, by polityka prowadzona w jego imieniu wyrażała te proste, ale twarde prawdy. Bo Polacy wiedzą, że ta wojna jest *wielką rewolucją!*

Elementy polskiej racji stanu — zawieszenie miedzy totalizmami i zwiazanie z idea wolności — sa dziś elementami racji stanu wszystkich narodów świata — nawet tych, które rzadzone sa totalistycznie. Na tym polega symbolizm naszej sytuacji. Wojne te wygraja narody, które tej racji stanu dadza wyraz w swojej polityce. Wielka koalicja tej wojny, zasługująca na miano Ziednoczonych Narodów może być tylko koalicja narodów, które dla takiej polityki zdecydowane sa na najwieksze ofiary.

Inwazja musi przestać być zmorą!

Zbliża się dzień inwazji. To wielkie przedsięwzięcie strategiczne ma zadać ostateczny cios machinie wojennej Hitlera. Jeżeli się ma udać, musi odbyć się przy możliwie jak najbardziej czynnym współudziale ruchów podziemnych Europy okupowanej. Ruchy te nie stanowią w tej chwili żadnej jednolitej organizacji, w każdym kraju tworzy się ruch odrębny, a w niektórych nawet kilka ruchów podziemnych. Co więcej, polityka krajów podbitych także nie jest jednolita: każdy nieomal rząd w krajach okupowanych (lub na emigracji) wiąże się już dziś z inna konkonstelacja sił i w ten sposób jeszcze przed klęska Hitlera powstaja zarysy nowych rozgrywek i nowych konfliktów w Europie powojennej. Armie inwazyjne witane bedą przez narody Europy z uczuciami mieszanymi i z wielką niepewnością, co ma nastąpić po zwycięstwie nad Niemcami.

W ten sposób przed armiami sprzymierzonymi,które pojawia się w Europie, stana zadania, które przy nieobecności frontu narodów europejskich trzeba nazwać zadaniami ponad siły, jeżeli się weźmie pod uwage, że klęska Hitlera, to dla Anglosasów dopiero koniec pierwszego etapu wojny, bo nastepny ma być rozegrany na Dalekim Wschodzie i na Pacyfiku. W świetle tych rozważań jedność narodów podbitych lub wbrew swej woli zwasalizowanych staje sie wrecz nieuchronna koniecznością i najbardziej palacym zagadnieniem chwili. Bo trzeba to powiedzieć jasno i wyraźnie, że chaos w Europie byłby gorszy od rządów niemieckich! Narody, których nie zdołał zubożyć, wyniszczyć i zdemoralizować Hitler — czeka w Europie nie uporzadkowanej los jeszcze gorszy niż tyranía hitlerowska.

Przed narodami europejskimi staje więc dylemat, z którego — jak wolno wnosić z dyskusji prasowych — zdaja sobie sprawe także Anglicy i Amerykanie: po klesce Hitlera natychmiast odbudować silne Niemcy albo przeprowadzić już dziś organizacje Europy. Armie inwazyjne nie mogą poprzestać tylko na tym, by *umożliwiać* narodom Europy powrót do normalnego życia politycznego, ale musza stać sie narzedziem *realizacji* planu europeiskiego, który należy ustalić jeszcze przed rozpoczęciem inwaji. A plan ten musi być układany przez przedstawicieli narodów europejskich, a nie przez mocarstwa pozalub tylko na pół-europejskie. W tym dziele należy sie Polsce — obok Francji — pierwsza rola. Czy mamy taki plan? Czy zdobyliśmy dla niego ludzi, którzy cieszą się w swoich krajach autorytetem i mogą w nich po klesce Hitlera zapewnić ład i porządek? Niestety, to są pytania retoryczne.

O Kongres Europejski

Nie do nas należy formułowanie planu europejskiego — projektów mamy już dość — ale do nas należy wołać o Kongres Europejski, który plan taki uchwali i który stanie się wielką demonstracja jedności europejskiej. A bez tej jedności nie tylko niepewne jest zwycięstwo nad Hitlerem, lecz niemal z całą pewnością przegrany będzie pokój.

Rola wielkich mocarstw, a więc Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Sowietów na Kongresie Europejskim winna wyrażać się w ustaleniu form współpracy militarnej i gospodarczej z narodami kongresowymi, natomiast z wszelkich form interwencji mocarstwa powinny z góry zrezygnować. Obecność i wycofanie wojsk sprzymierzonych z ziem narodów kongresowych winny stać się przedmiotem osobnej umowy mocarstw z Kongresem, tak samo sposób zastosowania sił zbrojnych narodów kongresowych w okupacji Niemiec.

Uwagi końcowe

Kongres europejski może stać się modelem nowej organizacji świata. Błąd obecnych koncepcji organizacji międzynarodowej polega na tym, że tworzy się je *dedukcyjnie*, wychodząc od układu stosunków między wielkimi mocarstwami. Jak zdrowe państwo, tak i organizacja międzynarodowa powstać może tylko w drodze organicznego wzrostu, przez organizację od dołu ku górze. Dopóki światem będą rządziły *ambicje największych* a nie *potrzeby najmniejszych* — ludzkość będzie marnowała swoje zasoby materialne i swoje środki techniczne w jałowej wojnie na wyniszczenie, zamiast przy ich pomocy *zagospodarowywać świat*.

Inicjatywa Kongresu Europejskiego, która — powtarzamy to — winna wyjść z kół polskich, może przerwać wreszcie wszystkie beznadziejne dyskusje o szczegóły nie mające znaczenia dla wielkich celów zwycięstwa i organizacji pokoju. Położy ona kres wszystkim machinacjom i intrygom zmierzającym do pozbawienia owoców zwycięstwa tych, którzy na rzecz tego zwycięstwa największe ponieśli ofiary i uniemożliwi czynnikom, które pragna utrzymać chaos międzynarodowy lub go jeszcze pogłębić, tworzenie warunków, w których mogłyby dokonywać sie wydarzenia, dla narodów europejskich i Europy jako całości niepożadane. A jednym z tych niepożadanych, lecz przy pogłębianiu sie chaosu i niepewności wielce prawdopodobnych wydarzeń byłoby utrzymanie się Hitlera przy władzy lub utrzymanie hegemonii Niemiec w Europie.

Wiemy, że Kongres Europejski leży w interesie zarówno Anglii, jak i Ameryki. Co do Sowietów zaś, to moga one sądzić, że byłby on z ich interesami sprzeczny, ale taka ocena tej inicjatywy musiałaby u chodzić za objaw złej woli. Narody Europy z nikim nie chcą prowadzić wojny, nikomu nie chcą zagrażać — narody Europy pragna tylko wydobyć się z odmętu, w który wtrąca je obecna wojna. Narody Europy pragna uwolnić sie od hegemonii Niemiec i zapobiec powstawaniu w tym kraju co pokoenie nowego cezara. Równocześnie narody Europy pragna żyć w zgodzie i w możliwie najściślejszej współpracy ze wszystkimi narodami świata oraz w miarę swych możliwości brać udział w tworzeniu powszechnego dobrobytu, w rozsądnym zagospodarowaniu świata. Narody Europy pragna przestać być narzędziami w rękach wielkich imperiów i pragną przestać służyć komukolwiek w rozgrywkach z wielkimi imperiami. Ale narody Europy nie watpia, że jeżeli uda im sie zorganizowanie pokoju na swoim kontynencie, oddadza przysługę wszystkim narodom świata, stwarzając raz jeszcze wzór cywilizacyjny dla innych kontynentów.

Oczywiście, jednej rzeczy trzeba uniknąć: uzgadniania planu Kongresu ze wszystkimi wielkimi mocarstwami po kolei. Kongres musi dojść do skutku w wyniku porozumienia przedstawicieli narodów europejskich miedzy soba i dopiero, gdy plan jego będzie gotowy, winien być przedstawiony mocarstwom, które należy zaprosić do udziału w jego obradach nad sprawami, które będa dotyczyły pomocy mocarstw dla Wolnej Europy.

Jan Ulatowski

Przegląd prasy

Petain — niedoszły republikanin

Wśród wielu sensacyjnych wydarzeń uszedł powszechnej uwagi fakt, który wszakże warto zanotować: marsz. Petain usiłował naśladować zamach stanu króla włoskiego i usunąć swojego „duce", Lavala. Do czytelnika gazet dotarła tylko wiadomość o nagłym odwołaniu zapowiedzianego w dn. 13 listopada ub.r. przemówienia radiowego marsz. Petain. Czytelnicy *„La Marseillaise"* — organu de Gaulle'a — dowiedzieli się ponadto w grudniu, co miało być treścią tej mowy. Wreszcie, pod koniec ub.r. słyszeliśmy o długim memoriale Ribbentropa, złożonym Petainowi przez Abetza. Brakło nam jednak powiązania tych faktów w całość. Dzięki „Neue Zuercher Zeitung" możemy sobie obecnie odtworzyć zarówno tło niedoszłego zamachu stanu w Vichy, jak i przebieg wydarzeń.

W incydencie, o którym mowa, zbiegają się dwa usiłowania: Niemcy nie mieliby nic przeciwko temu, by „kollaboracjonizm" otrzymał we Francji sankcję parlamentarną, a marsz. Petain chciałby móc stanąć przed światem jako jedyny reprezentant francuskiej republiki. Ale tych dwóch pragnień nie można zaspokoić równocześnie: na przeszkodzie stoi bowiem osoba Lavala, którego — jako „faszysty" i symbol „kollaboracji" — Petain chciałby *usunąć*, a Berlin z tych samych powodów pragnie *utrzymać*.

Za pośrednictwem grupy najbardziej znanych „kollaboracjonistów" Niemcy sugerowali Petainowi już we wrześniu, by zwołał zgromadzenie narodowe, tj. połączone izby posłów i senatorów. Szeregi tego zgromadzenia zostały do tego stopnia „oczyszczone" przez Niemców, że można było liczyć na większość pro-niemiecką, przez co system „kollaboracji" otrzymałby pozory większej legalności!

Petainowi pomysł ten musiał się podobać, bo 13 listopada wygotował orędzie prezydenckie (z mocą ustawy), którym przywracał zgromadzenie narodowe, tj. połączone izby posłów i senatorów. Szeregi tego zgromadzenia zostały do tego stopnia „oczyszczone" przez Niemców, że można było liczyć na większość pro-niemiecką, przez co system „kollaboracji" otrzymałby pozory większej legalności!

Petainowi pomysł ten musiał się podobać, bo 13 listopada wygotował orędzie prezydenckie (z mocą ustawy), którym przywracał zgromadzenie narodowe, jakie wyszło jeszcze z wyborów przedwojennych, a w r. 1940 zostało rozwiązane. Intencja tego aktu państwowego była jednak nieco odmienna od życzeń niemieckich: orędzie Petaina *likwidowało* totalitarne „Państwo Francuskie" i *przywracało* republikę. W rezultacie Laval byłby musiał odejść.

Tego Niemcom było za wiele. Tekst orędzia, które miało być odczytane przez radio 13 listopada wieczorem, Petain przekazał władzom niemieckim dopiero w południe tegoż dnia. Już się zdawało, że zdąży je odczytać, gdy nagle nadszedł z samej kwatery Hitlera surowy zakaz i przemówienie Petaina musiano odwołać. Marszałek założył natychmiast ostry protest przeciwko zakazowi i oświadczył, że do chwili cofnięcia zakazu zawiesza swoje czynności jako głowy państwa. Stosunki między Berlinem a Vichy stały się w najwyższym stopniu naprężone.

By sobie umożliwić pertraktacje z Petainem, Niemcy rozpoczęli 25 listopada ostre prześladowania profesorów i słuchaczy dawnego Uniwersytetu Strasburskiego, który od r. 1940 mieści się w Clermont-Ferrand. Na grobie zastrzelonego przez Gestapo prof. Collomp zabrakło wprawdzie wieńca od rządu Lavala, w imieniu Petaina jednak wieniec został złożony. Ma to swoje znaczenie nie tylko jako dowód nieustępliwości Petaina, ale łączy się także z ogólnym stosunkiem marszałka do sprawy Lotaryngii, która jest jak gdyby symbolem walczącej Francji (krzyż lotaryński na sztandarze de Gaulle'a!). Jeszcze w r. 1942 Laval musiał z polecenia Petaina złożyć w Berlinie ostrą notę protestacyjną przeciwko polityce wysiedleńczej prowadzonej w Lotaryngii przez Niemców i przeciwko poborowi Lotaryńczyków do armii niemieckiej. Tym zapewne tłumaczy się, że Niemcy wybrali właśnie Uniwersytet Strasburski, by w zamian za obietnicę zaprzestania prześladowań wszczętych tam 25 listopada skłonić Petaina do bardziej ustępliwej postawy w sprawie likwidacji konfliktu konstytucyjnego z 13 listopada.

Dnia 3 grudnia zjawił się u Petaina Abetz, ambasador Hitlera przy Lavalu i wręczył mu list Ribbentropa, w którym pomysł przywrócenia „parlamentu, który w r. 1939 wypowiedział Niemcom wojnę" określony został jako „oburzający w najwyższym stopniu". Jak się zdaje, marsz. Petain nie cofnął jednak swego protestu z 13 listopada i obstaje przy tym, że wstrzymane wówczas zakazem Hitlera orędzie nadal zachowuje swoją ważność. Ale prześladowania w Clermont-Ferrand ustały, a przez wizytę Abetza u Petaina przynajmniej na pozór złagodzone zostały stosunki między Berlinem a Vichy. Petain ulżył losowi profesorów i studentów w Clermont-Ferrand, przez co rozproszył wątpliwości nurtujące nawet jego własne otoczenie, czy osoba jego ma w ogóle jeszcze jakieś znaczenie polityczne. Niemcy natomiast — nie ustępując w sprawach zasadniczych, tj. nie dopuszczając do przywrócenia republiki — uzyskali normalizację stosunków ze starcem z Vichy, który od dawna nie sprawuje władzy, ale mimo wszystko jest symbolem „suwerenności" Francji. A Niemcom takie pozory najzupełniej wystarczą.

W ten sposób i wilk jest syty i koza cała. Bo ostatecznie dzięki temu incydentowi świat dowiedział się, że Petain *zamierzał* przywrócić republikę, ba, że uważa ją już za przywróconą, a Niemcy mają jednak tę satysfakcję, że rządy sprawuje nadal „kollaboracjonista" Laval. Przykrość zrobiono tylko de Gaulle'owi, który nagle przesrał być jedynym możliwym kandydatem na zbawcę republiki francuskiej: całkiem niespodziewanie wyrósł mu rywal w osobie „starca z Montoire", marszałka Francji i b. szefa „Państwa Francuskiego" — Petaina.

Czy Anglia bolszewizuje Europę?

Hitlerowi się zdaje, że może coś zyskać na tym, gdy będzie Anglii tłumaczył, że zarówno „realistyczna" polityka Stanów Zjednoczonych, jak i „wolna ręka" dla Stalina w Europie stanowią zagrożenie interesów brytyjskich. Równocześnie chciałby on stanąć przed światem jako obrońca Europy przed niebezpieczeństwem bolszewickim i w tym celu woła głośno, że „Anglia bolszewizuje Europę". Zarzutem tym zajął się sowietofilski tygodnik londyński *„The New Statesman and Nation"* w artykule pt. „Czy bolszewizujemy Europę?"

Pismo referuje mowę noworoczną Hitlera, który starał się wykazać, że w obecnej wojnie Anglia nie osiągnie swego celu — tj. nie uda jej się odbudować równowagi sił na kontynencie europejskim — gdyż zamiast tej równowagi sił pojawi się w Europie „triumfujący bolszewizm". W każdym razie Anglia będzie osłabiona i znajdzie się w trudnej sytuacji między Sowietami a Stanami Zjednoczonymi. „W tej sprawie — pisze tygodnik londyński — argumenty Hitlera pokrywają się ściśle a tezami marsz. Smutsa". Hitler wnioskuje, że Europa — a z nią tysiącletnia cywilizacja europejska — utrzymać się mogą tylko, jeżeli utrzymane zostaną Niemcy.

„New Statesman" rozprawia się z tymi zarzutami w następujący sposób: 1) bolszewizm wcale nie jest zaprzeczeniem cywilizacji europejskiej, wywodzącej się z Grecji starożytnej i z chrześcijaństwa, ale „sam jest częścią tradycyjnej kultury śródziemnomorskiej"; 2) Stalin wcale nie pragnie chaosu ani w Niemczech, ani w Europie, przeciwnie, pragnie on, by Niemcy po wojnie mogły żyć spokojnie pod rządami demokratycznymi i by w Europie istniały rządy „folksfrontowe", życzliwe dla Rosji; 3) ale też Hitler bynajmniej nie ma na myśli komunizmu, gdy mówi o „niebezpieczeństwie bolszewickim": komunizm jest formą ładu społecznego i wysokiego stopnia organizacji — Hitler przewiduje chaos i anarchię jako rezultat anglo-amerykańskiego bombardowania Rzeszy, przewiduje ostateczny upadek warstwy średniej w Niemczech, którą nadgryzła inflacja i którą uratował hitleryzm, przewiduje powszechną proletaryzację społeczeństwa niemieckiego; chaos i anarchia są logiczną konsekwencją faszyzmu, a w Niemczech są tym bardziej prawdopodobne, że Hitler, ten „szalony Samson" jest zdecydowany „obalić filary świątyni i doprowadzić cywilizację europejską do ruiny"; 4) chaos w Europie stanie się więc nieuniknony, jeżeli Anglosasi będą podtrzymywali swoją politykę „bezwarunkowej kapitulacji", która jest „zaimprowizowanym frazesem, pozornie głębokim, a pozbawionym znaczenia"; 5) nie bolszewizmowi, ale chaosowi i ruinie cywilizacji europejskiej zapobiec może tylko „konstruktywna polityka europejska", którą powinni obecnie uzgodnić Stalin, Roosevelt i Churchill.

To wszystko powiedziano po Moskwie, po Teheranie i po zainstalowaniu pp. Stettiniusa, Crowleya i Harrimana w amerykańskiej dyplomacji. „Konstruktywna polityka europejska" Stalina, Roosevelta i Churchilla? „New Statesman" że się wybrał: Europa jest już dziś szarą prowincją, wielkie sprawy rozgrywają się zupełnie gdzie indziej! Rozwiązanie kwestii europejskiej przestało być głównym celem stron wojujących — nastąpi ono jako uboczny rezultat rozgrywki znacznie szerszej **(m.r.)**

Wydawca: Oddział Propagandy i Oświaty Dowa Armii Polskiej na Wschodzie.

Adres redakcji i administracji: Polforces ME 5.